W numerze m. in.:

G. C. BIDWELL
R. KOŁONIECKI
J. KUREK
R. MATUSZEWSKI
J. KOTT
St. WYGODZKI
J. PREGERÓWNA

KUŹNICA

Cena 25 zł — 8 stron | Warszawa, 11 września 1949 r. | Nr 36 (208) Rok V

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Wpisano do kontroli peryodyków I Miejskiej wypożyczalni książek dla dorosłych
do 11-9 19 49 r.

Władza ludowa i jej polityka braterskich sojuszów jest najwyższą rękojmią, że naród polski nigdy więcej nie poczuje się samotny, opuszczony i bezbronny.

BOLESŁAW BIERUT

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

Ku realizmowi socjalistycznemu w muzyce

Istotny sens Zjazdu Kompozytorów w Łagowie zamyka się nie tylko w próbie podsumowania dotychczasowych osiągnięć polskiej muzyki współczesnej oraz jej doświadczeń w walce z formalizmem, lecz przede wszystkim w twórczej konfrontacji definicji i założeń teoretycznych z realną treścią muzyczną, zarówno dawnych kompozycji jak i nowych, wykonanych dopiero w Łagowie przez zespół Filharmonii Poznańskiej. Nadało to obradom charakter odkrywczy, poszukujący, skierowując jednocześnie główny tok dyskusji na zagadnienia dotyczące treści pojęciowych w muzyce.

W świetle obrad łagowskich okazało się rzeczą bezsporną, że problem formalizmu i realizmu w muzyce nie może być rozpatrywany ani w płaszczyźnie przeciwstawienia treściom emocjonalnym w muzyce — treści pojęciowych, ani w płaszczyźnie przeciwstawienia wartościom formalnym — wartości tematycznych, lecz jedynie w perspektywie zasadniczego przeciwieństwa między antyhumanistyczną, abstrakcyjno-formalną muzyką schyłkowego okresu imperializmu, a humanistyczną, pojęciowo-emocjonalną, sugestywną w odbiorczych środkach wyrazu nowoczesną muzyką epoki socjalizmu.

Nie istnieje bowiem jako zagadnienie węzłowe przeciwieństwo między formą a treścią. Istnieje natomiast przeciwieństwo między tematyczno - formalnym wyrazem muzyki schyłkowej a postawą ideologiczną i środkami wyrazu muzyki naszej epoki. Stąd też zagadnienie dialektycznej jedności treści i formy w muzyce, chociaż nie jej tożsamości w środkach oddziaływania, winno być punktem wyjścia naszego rozumowania.

*

Kryzys nowoczesnej muzyki to kryzys jej treści pojęciowych i tym samym kryzys tych środków formalnych, które ona reprezentuje.

W ciągu ostatniego półwiecza obserwujemy wśród intelektualistów i twórców, tkwiących jeszcze ideologicznie w starym świecie, charakterystyczną bezradność wobec stającej przed nimi konieczności uchwycenia prawdy obiektywnej nowej epoki. Jest to następstwo zachwiania się systemu kapitalistycznego, które musiało pociągnąć za sobą zachwianie się wszystkich dotychczasowych pojęć estetycznych, a tym samym pojęć o bryle, kolorze, symetrii — w plastyce, pojęć o tonalności, harmonii, jedności treści i formy — w muzyce, czy równorzędnych zjawisk w innych dziedzinach sztuki.

Zwątpienie w człowieka, świadomość katastrofy, bezetyczność własnej postawy społecznej, sprowadzenie istoty życia do osobistej, małej „sensacji istnienia" — wszystko to w przełożeniu na język muzyczny musiało dać w twórczości ucieczkę od humanistycznych, ludzkich treści do abstrakcyjnych spekulacji, do pseudo nowatorskich rozwiązań formalnych bez oglądania się na rozwinięcie w temacie podstawowej myśli muzycznej i jej apercepcji przez słuchacza. Początkowy głęboki jeszcze i przejmujący pesymizm Strawińskiego, Debussego, Ravela czy u nas Szymanowskiego — przechodzi w miarę pogłębiania się kryzysu ustrojowego w formalistyczną żonglerkę, w groteskę dodekafonistów w snobistyczne kultywowanie dysharmonicznego jazzu.

Podczas dyskusji w Łagowie jeden z kompozytorów, analizując ten proces wyrodnienia muzyki ostatniego półwiecza, zaryzykował twierdzenie, że tak jak sama muzyka wyrosła w swoim czasie z krzyku pierwotnego człowieka, tak dziś zamyka swój krąg rozwoju w spazmatycznym, pełnym wewnętrznej dysharmonii krzyku ginącego świata. Pomimo całej paradoksalności tego porównania, istota zagadnienia została podchwycona trafnie. Ahumanistyczna muzyka ostatniego półwiecza, mimo jej wielkie poszczególne osiągnięcia, ogarnięta pasją ucieczki od treści pojęciowo emocjonalnych, coraz bardziej operuje amuzykalnymi środkami wyrazu, stając się zaprzeczeniem własnej racji istnienia, własnej funkcji społecznej i własnej drogi rozwoju.

Wykluczyć emocje życia i ograniczyć estetyczne odczucia muzyczne do tego, co Clire Bell nazwał „abstrakcyjną doniosłością formy", oto było zadanie, które sobie na przestrzeni ostatnich lat pięćdziesięciu stawiali kompozytorzy amerykańscy i zachodnio-europejscy. Że tego rodzaju muzyka musiała być jednocześnie najzupełniej wyabstrahowana z narodowego i ludowego charakteru, że musiała sterować nieuchronnie ku bezdusznemu kosmopolityzmowi a w dalszej konsekwencji wpaść pod dyktando deformacji muzycznych amerykańskiego jazzu, było rzeczą co najmniej oczywistą.

Nic też dziwnego, że imperializm amerykański posługuje się dziś formalistyczną, kosmopolityczną, antynarodową i ahumanistyczną muzyką jako jednym z poważniejszych środków oddziaływania na psychologię ludzką, stępiania jej wrażliwości etycznych i estetycznych, niszczenia twórczości ludowej i nurtu muzyki narodowej, a tym samym obezwładniania narodów w ich walce o wolność, o sprawiedliwość społeczną, o nowy, konstruktywny, jasno zarysowany ład socjalistycznego ustroju.

Zagadnienie więc formalizmu i kosmopolityzmu w muzyce interesuje nas nie tylko jako zjawisko artystyczne, a nawet nie tylko jako zjawisko społeczne, lecz przede wszystkim jako zjawisko polityczne, jako specyficzna forma penetracji w dziedzinę muzyki politycznego nihilizmu, beznadziejności tak zwanej kultury panamerykańskiej.

Stąd, rzecz prosta, muzyka nowej, współczesnej nam epoki, epoki socjalizmu musi stanowić nie tylko twórcze przewartościowanie najlepszego dorobku minionych epok, lecz przede wszystkim musi być twórczym przeciwstawieniem się — zarówno w treści, jak w środkach wyrazu — atonalnej, aharmonicznej, wyabstrahowanej z ludzkich przeżyć i treści muzyki ostatniego półwiecza.

Zdajemy sobie w pełni sprawę z całej złożoności i trudności tego zadania. To też zarówno świadomość doniosłości problemu, jak i jego specyficzność ciążyła nad całością obrad Zjazdu w Łagowie.

Każdy proces twórczy jest rezultatem zorganizowanej w określony sposób wyobraźni artysty i właściwych tej wyobraźni środków wyrazu. Na tak a nie inaczej ukształtowaną wyobraźnię złożył się długi szereg zjawisk, nawyków myślowych, często po prostu urazów psychologicznych, nieświadomych skojarzeń, których wytłumaczenie wymaga prześledzenia złożonego procesu oddziaływania ekonomiczno-społecznej bazy na nadbudowę kulturalną.

Przestawienie się więc ukształtowanej już wyobraźni na nową nie może być w tych warunkach ani procesem mechanicznym ani procesem łatwym. Zagadnienie polega raczej na świadomym organizowaniu twórczego procesu, na jasnym, wyraźnym określeniu zarówno metody twórczej, jak istoty realizmu socjalistycznego, który winien stać się wytyczną działania w dalszych twórczych poszukiwaniach naszych kompozytorów.

Zasługą kompozytorów, biorących udział w zjeździe w Łagowie było przede wszystkim to, że próbowali rozwiązać te problemy nie tylko na drodze artystycznej, głęboko ideologicznej krytyki, lecz również na drodze znalezienia pokrycia dla swych słów w swoim własnym języku muzycznym.

Omawiając to zagadnienie, chciałbym zatrzymać się przede wszystkim na interesującej wypowiedzi prof. Ekiera, którego najnowszy koncert fortepianowy usłyszeliśmy tegoż jeszcze wieczoru.

Profesor Ekier wychodzi ze słusznego założenia, że muzyka jest swoistym kontaktem człowieka z człowiekiem za pomocą dźwięków. A więc nie może być i nie istnieje muzyka apojęciowa, możemy tylko dyskutować, czy pojęcia wyrażone przez daną muzykę są pojęciami naszej, czy wrogiej nam epoki. Oczywiście muzyka przekazuje swoje treści pojęciowe inaczej niż plastyka czy literatura. Muzyka silniej niż jakakolwiek inna dziedzina sztuki sublimuje treści pojęciowe w treściach emocjonalnych. Zdolność przekazania tych treści słuchaczowi, diagram jego przeżyć jest miarą doskonałości muzyki.

Stąd też według prof. Ekiera proces zrywania z formalizmem w muzyce jest procesem rozszerzania się zakresu świadomego stosunku twórcy do własnego dzieła jako do rezultatu obiektywnej jedności treści, przeżycia i zamierzonych środków wyrazu. Im bardziej świadomy jest proces przekładania własnych przeżyć pojęciowych na język muzyczny i później — stanu emocjonalnego języka muzycznego na treści pojęciowo-emocjonalne słuchacza, im bardziej zbliżają się do siebie punkt wyjścia w zorganizowanej wyobraźni twórcy i treść odbiorcza w wyobraźni słuchacza, tym bardziej muzyka przezwycięża formalistyczny abstrakcjonizm i staje się w swoim wyrazie muzyką realistyczną, szczerą i sugestywną.

Jeżeli uprzytomnimy sobie, że realizm socjalistyczny w sztuce nie jest żadną szkołą artystyczną, lecz tylko metodą twórczą, świadomym stosunkiem do własnego dzieła jako do artystycznego procesu przełożenia na język sztuki rzeczywistych, obiektywnych w swoim przebiegu zjawisk epoki, to niewątpliwie uderzy nas głęboka szczerość i prawdziwość rozumowania profesora Ekiera, bynajmniej nie pretendującego do miana marksisty. Wykonany w kilka godzin później koncert prof. Ekiera był zwycięskim potwierdzeniem jego drogi twórczej. Koncert ten, zwarty, prosty, dynamiczny i twardy w swojej konsekwencji, zwłaszcza w części fortepianowej, mówił o skupionej woli nie tylko świadomego odtworzenia własnych przeżyć muzycznych, lecz i świadomego przekazania ich widzowi, bez upraszczania problemu i bez prymitywizowania środków wyrazu. Oczywiście trudno w danym wypadku mówić o jakościowym przestawieniu w sposób ostatecznie zdeterminowany środków artystycznych prof. Ekiera, możemy natomiast niewątpliwie stwierdzić świadomy wysiłek operowania środkami wyrazu sugestywnymi nawet dla najmniej przygotowanego słuchacza.

„Sztuka jest wyrazem nie tylko pojęć estetycznych, nie tylko oderwanego w sobie piękna — mówił prof. Woytowicz — lecz jest afirmacją prawdy. Wszelka negacja prawdy czy ucieczka od niej jest formalizmem. Dopiero zamknięcie trójkąta: kompozytor, dzieło, słuchacz — daje dzieło sztuki. Co, rzecz prosta, nie zwalnia nas od obowiązku nie tylko kształtowania muzyki od strony dzieła, lecz również od strony zagadnienia muzycznego dojrzewania zbiorowości".

W ten sposób na Zjeździe w Łagowie nie tylko osadzono zagadnienie formalizmu i realizmu w muzyce w żywym ciele twórczego procesu jako procesu określonej jedności treści pojęciowo-emocjonalnych z formalnymi środkami wyrazu, lecz równocześnie zakreślono granicę sprawdzalności wartości dzieła muzycznego w sugestywności oddźwięku, który dany utwór znajduje u słuchacza. Nie tracąc więc z oczu konieczności systematycznej walki o doskonałość środków wyrazu, dla wyrażenia nowych treści muzycznych, musimy równolegle dbać o wychowanie muzyczne szerokich rzesz społeczeństwa.

*

Drugie zagadnienie, które znalazło żywy oddźwięk w dyskusji, to był problem narodowej muzyki i jej przeciwstawienia się nihilistycznemu kosmopolityzmowi dzisiejszej muzyki mieszczańskiej.

Niezależnie od wspólnych humanistycznych treści, każdy naród wnosił i wnosi do sztuki swój własny emocjonalny i harmoniczny wyraz, najmocniejszy oczywiście w muzyce ludowej, bezsporny jednak w każdym innym rodzaju twórczości.

Chopin stał się własnością całej ludzkości niezależnie od tego, a może nawet przede wszystkim dlatego, że był w genialny sposób twórcą muzyki narodowej. To samo można powiedzieć o Czajkowskim jako kompozytorze rosyjskim, Liszcie — jako kompozytorze węgierskim, Beethovenie — jako kompozytorze niemieckim. Natomiast oderwanie się od przeżyć, walk i treści uczuciowych narodu, tak charakterystyczne dla klasy, która staje w poprzek rozwoju własnego narodu, prowadzi nieubłaganie do kosmopolitycznej bezduszności, do muzyki nie tylko niezrozumiałej dla narodu, lecz obcej narodowi.

Zbigniew Turski otrzymał za swoją Symfonię Olimpijską złoty medal w Londynie. Lecz muzyka jego, pomimo znamion wielkiego talentu, zabrzmiała obco w kraju. Zabrzmiała obco nie dlatego, że była tragiczna. Tragiczna była muzyka Beethovena i muzyka Czajkowskiego, tragiczna aż do desperacji była muzyka Szymanowskiego, niemniej jednak pozostała bliska narodowi. Natomiast muzyka Turskiego była kompozycją człowieka, który nie potrafił w wyobraźni muzycznej zamknąć w sugestywny sposób tych wszystkich zagubionych w nim odczuć, które w ostatecznym rachunku rozsadziły jedność kompozycyjną dzieła. Turski, zarówno w pierwszej, jak i w drugiej części, nie mógł skupić ani własnej uwagi, ani uwagi słuchacza na żadnym logicznie rozwijającym się temacie. Gubił wątki, uciekał przed logiką melodii i kompozycji, aż dopiero w trzeciej części wyzwolił się w krzyku przerażenia i grozy.

Symfonia Olimpijska jest w tych warunkach muzyką formalistyczną i w środkach wyrazu, i w treściach pojęciowych, a co gorsza — jest muzyką zarażoną kosmopolityzmem.

O tych sprawach można pisać tym szczerzej, że wielki talent Turskiego niewątpliwie znajdzie wyjście z tej drogi. Że potrafi odnaleźć nie tylko siebie w swoim procesie twórczym, lecz co najważniejsze, potrafi odnaleźć we własnej twórczości przeżycia narodu, przełożone na język muzyczny zrozumiały dla społeczeństwa.

Słowa krytyki na Zjeździe Łagowskim skierowane pod adresem kolegi Turskiego były słowami przestrogi ze strony tych przyjaciół, którzy wierzą w jego talent, w jego głęboki patriotyzm i szczere oddanie idei ludowej.

I wreszcie ostatni problem. Problem własnych realistycznych środków wyrazu w naszej socjalistycznej epoce. Pod tym względem Zjazd Łagowski był szczególnie płodny. Prof. Gradstein, autor szeregu popularnych pieśni, znakomitych piosenek dla dzieci i wielu poważnych kompozycji, ilustrując muzycznie swoją wypowiedź przeanalizował wnikliwie problem poszukiwania nowych, realistycznych środków wyrazu. Wszelka próba afirmacji czy powtórzenia środków formalnych poprzednich epok kończyła się dla niego z reguły niepowodzeniem, będąc nie tylko zaprzeczeniem idei postępu, nieustannej walki nowego ze starym, lecz wyrazem bezpłodnej, głęboko formalistycznej próby zamknięcia w dawnych środkach wyrazu — nowych treści pojęciowo-emocjonalnych. Dopiero w piosenkach dla dzieci — Gradstein odnalazł siebie w nowej epoce. Odnalazł własne rzemiosło, własny język, giętki i wrażliwy dla skali przeżyć ludzi dnia dzisiejszego.

Podobnie jak „Kantata na cześć pracy" Woytowicza czy Sinfonietta Bairda, które to utwory zdecydowanie antyformalistyczne a jednocześnie nowe w środkach wyrazu, jasne i niepowtarzalne, przejrzyste w treściach pojęciowych, zyskały odruchowy entuzjazm słuchaczy, zarówno specjalistów, jak i słuchaczy nieobeznanych w rzemiośle muzycznym.

*

Problem przejęcia i przewartościowania wielkiego dziedzictwa przeszłości, wydobycia z niego postępowego nurtu narodowego, nie oznacza więc bezkrytycznej asymilacji muzycznego dziedzictwa, lecz dialektyczne przełożenie jego osiągnięć na język muzyczny nowej epoki. Oznacza zarazem konieczność odnalezienia nowych treści ludzkich w nowych środkach wyrazu, w środkach prostych, sugestywnych i wielkich, tak jak prosta, sugestywna i wielka jest nasza epoka, epoka ludzi, którzy odkryli genialną metodę świadomego kształtowania twórczej myśli ludzkiej i ludzkiej drogi do wolności i szczęścia.

Włodzimierz Sokorski

Bujnicki, Żeromska, Namysłowski

Znaliśmy ich wszystkich. Teodora Bujnickiego — poetę związanego już przed wojną z wileńską grupą postępowej młodzieży akademickiej, podczas okupacji uczestnika antyniemieckiego ruchu oporu wśród Polaków na tym terenie. Zginął już po wypędzeniu Niemców z Wileńszczyzny przez Armię Radziecką, zamordowany skrytobójczo jako działacz Związku Patriotów Polskich. Zginął za to, że organizował udział Polaków w nieskończonej jeszcze wtedy zbrojnej walce o wolność prowadzonej przez idące na zachód wojska radzieckie i polskie.

Znaliśmy Marię Żeromską, przed wojną jedną z czołowych działaczek wileńskiej lewicy akademickiej; znaliśmy jej publicystykę patriotyczną, humanistyczną i postępową, walczącą z hitleryzacją życia polskiego, polskich uniwersytetów, polskiej kultury. Znaliśmy ją jako krytyka literackiego w prasie postępowej. Zginęła podczas okupacji, rozstrzelana przez Niemców za działalność podziemną.

Kazimierz Namysłowski należał kiedyś do sanacyjnego Legionu Młodych, który był faszystowską dywersją żerującą na mglistym, niezorientowanym politycznie radykaliźmie młodzieży. Za pomocą lewicowej, nieraz nawet rewolucyjnej demagogii wciągano tu młodzież do obozu reakcji. W roku 1936 część tej młodzieży przejrzała istotne cele i funkcje Legionu Młodych, zerwała z nim i przeszła do obozu lewicy. Jednym z najaktywniejszych działaczy tego środowiska był właśnie Kazimierz Namysłowski, który odtąd aż do wybuchu wojny brał czynny udział w antyfaszystowskim ruchu młodzieżowym a podczas okupacji organizował podziemną walkę z Niemcami wśród Polaków na Wileńszczyźnie. Zginął w Gestapo.

Wiedzieliśmy o śmierci tych trojga. Wiedzieliśmy, że Bujnicki zginął z kierowanej przez obóz „londyński" ręki Akowca. Wiedzieliśmy, że Namysłowski i Żeromska zostali straceni przez Niemców. Nie wiedzieliśmy tylko, nie wiedzieliśmy wtedy, że to była ta sama ręka. Że wszyscy troje zginęli za Polskę z rąk zdrajców, kolaboracjonistów, którzy — podporządkowani organizacyjnie „Londynowi" i dowództwu AK — stali na usługach wileńskiej Gestapo jako jej siepacze, wespół z litewskimi faszystami-kolaboracjonistami. To przy ich nieocenionej pomocy Niemcy najokrutniejszymi środkami tłumili ruch oporu na Wileńszczyźnie, to oni na rozkaz „rządu" emigracyjnego w Londynie i wileńskiej komendy Gestapo mordowali patriotów polskich, białoruskich partyzantów radzieckich, wszystkich, którzy walczyli z Niemcami. To oni w bestialski sposób mordowali później żołnierzy Armii Radzieckiej, która po wypędzeniu Niemców z Wileńszczyzny szła na zachód na wyzwolenie Polski, na pogrom hitleryzmu, na zdobycie Berlina.

O tym wszystkim społeczeństwo polskie dowiadywało się powoli w ciągu 5 lat powojennych — o współpracy z Niemcami nie tylko NSZ-u, jak chciało wierzyć i wmawiało sobie tylu oszukanych przez Londyn, ale o tajnej współpracy z Niemcami samego kierownictwa AK, podporządkowanego emigracyjnemu „rządowi" Sosnkowskiego i Mikołajczyka, jednocześnie zaś związanego z wywiadem angielskim. Powoli tylko społeczeństwo polskie dowiadywało się, że podczas okupacji bardzo wielu działaczy podziemia albo padło bezpośrednio z rąk polskich hitlerowców albo zginęło w Gestapo wskutek denuncjacji tych, którzy pozostając pod rozkazami Bora-Komorowskiego i Pełczyńskiego — za wiedzą i aprobatą, gorzej, bo na polecenie czynników emigracyjnych służyli Niemcom w ich walce z polskim ruchem oporu.

Z bydgoskiego procesu wileńskiej grupy AK „Cecylia" dowiedzieliśmy się teraz — z ust samych oskarżonych — że to oni na rozkaz akowskiej góry i Gestapo aresztowali podczas okupacji Namysłowskiego i Żeromską, że w strzeżonym przez gestapowców lokalu torturowali ich w okrutny sposób, po czym zmasakrowanych odstawili do Gestapo, gdzie oboje zginęli. Tak samo zginęli inni działacze podziemia polskiego w Wilnie i na Wileńszczyźnie. Później ta sama banda zamordowała Teodora Bujnickiego.

Haniebna karta dziejów polskiej kolaboracji z hitlerowcami odsłania się w całej ohydzie. Proces Doboszyńskiego ujawnił (zapewne częściowo tylko) mechanizm polityczno-organizacyjny tego zjawiska. Bydgoski proces „cecylianów" ukazał jeden, choć wstrząsający fragment roboty wykonawczej w terenie, prowadzonej przez poszczególne ośrodki współpracy sanacyjno-endecko-gestapowskiej, której z zagranicy patronował Londyn — polski i angielski. I na Londyn spada odpowiedzialność za zbrodnie popełnione w kraju przez kolaboracjonistów, przez mówiących po polsku hitlerowców, przez siepaczy Gestapo o rdzennie polskich nazwiskach. Mikołajczyk, Kopański i Sosnkowski, Adam Ciołkosz i Tadeusz Bielecki — to ci, których sumienia obciąża śmierć Marii Żeromskiej, Teodora Bujnickiego, Kazimierza Namysłowskiego. Ludzie, którzy ich zamordowali, i ludzie, którzy inspirowali te zbrodnie, są wyrzutkami społeczeństwa polskiego — ale nie są wyrzutkami w swoim obozie. To najwierniejsi z wiernych tego obozu, to ci, którzy najdokładniej wykonywali jego program i jego taktykę, to pobratymcy ideowi księdza Gurgacza.

I czas chyba powiedzieć otwarcie: są jeszcze dziś w kraju publicyści, redaktorzy, pretendujący do miana intelektualistów, do miana ludzi uczciwych i patriotów, którzy — samym choćby milczeniem — solidaryzują się ze zbrodniarzami. Nie słyszeliśmy przecież z ich ust ani słowa potępienia zbrodni, nie słyszeliśmy bodaj stwierdzenia, że się pomylili, że zostali oszukani, że niezależnie od swoich poglądów politycznych nie chcą ideowo ani moralnie mieć nic wspólnego ze zdrajcami i kolaboracjonistami. Jeżeli milczą — wszystko jedno: przez solidarność ze zbrodnią, czy tylko z oportunizmu — to trudno nie dojść do wniosku, że są w jakiś sposób po stronie tych, którzy zamordowali Namysłowskiego, Żeromską i Bujnickiego.

GEORGE CHANDES BIDWELL

Oblicze szkolnictwa angielskiego

System szkolnictwa oceniamy, po pierwsze, z punktu widzenia udostępnienia go dla wszystkich w całym zasięgu czy też w tych działach, które przedstawiają wartość dla jednostki bez względu na jej pozycję społeczną wzgl. materialną — po drugie, z punktu widzenia wartości jego wyników dla społeczeństwa. Nie wydaje mi się, aby zdanie: „udostępnienie szkolnictwa" należało uzupełniać, jak czyni to większość oświatowców brytyjskich, słowami „w zależności od potrzeby"; ograniczenie to, moim zdaniem, umieszcza jednostkę w danej klasie społecznej i tam ją zatrzymuje, podczas gdy oświata w pełnym tego słowa znaczeniu otwiera przed każdym człowiekiem drogę wszędzie, dokąd mogą go zaprowadzić jego zdolności, należycie rozwinięte.

Oceniając po krótce szkolnictwo angielskie według tych zasad, spróbujmy przede wszystkim poddać je próbie pierwszego ze wskazanych wyżej kryteriów. Natychmiast okaże się, że poprzez cały system szkół angielskich przebiega ostro zarysowana granica: po jednej stronie mamy wykształcenie opłacane przez rodziców, po drugiej — pokrywane przez państwo. To wskazuje od razu, że nauka w Anglii nie stoi w całej rozciągłości otworem przed wszystkimi, wraz z korzyściami, które mogłaby dać jednostce bez względu na jej pozycję społeczną czy materialną. Syn rodziny robotniczej może oczywiście skorzystać tylko z tej nauki, którą mu daje państwo. Takie wykształcenie jakie mogą ofiarować swym córkom i synom rodzice zamożni, jest przed nim zamknięte. Tym samym, system ten jest w sposób nieunikniony i nieodparty jednym z zasadniczych czynników utrzymania podziału klasowego.

Myśl rzucona w XIX stuleciu, że oświecanie „niższych sfer" jest niepotrzebne i niebezpieczne, chociaż przekształcona pod społecznym naciskiem samych robotników, nie jest bynajmniej wykorzeniona i wciąż jeszcze pokutuje w mentalności mieszczaństwa brytyjskiego; w dzisiejszej Anglii można usłyszeć ludzi mówiących, że walka w przemyśle rodzi się z „głupstwa", jakim jest kształcenie robotników, i z „napychania im głów niepotrzebnymi myślami".

Najniższe szczeble angielskiej „drabiny" oświatowej stanowią: w dziedzinie szkolnictwa państwowego — szkoła powszechna (zwana przed wojną elementarną), w dziedzinie szkolnictwa prywatnego — przedszkola i szkoły prywatne, obejmujące w przybliżeniu dzieci tego samego wieku, co szkoła elementarna, to znaczy od 5 do 11 lat.

Szkoły powszechne nie straciły jeszcze piętna nadanego im w tym czasie, gdy były jawnie instytucjami dobroczynnymi. W rezultacie, choć są dostępne dla wszystkich, po dziś dzień uczęszczają do nich zasadniczo jedynie dzieci robotników i chłopów oraz tych członków niższej klasy średniej, którym zasoby nie pozwalają na pokrycie kosztów przedszkoli i szkół prywatnych, albo którzy nie mają zamiaru rujnować się w celu zdobycia wyróżnienia społecznego, wypływającego z uiszczenia tych opłat.

Jeszcze dziś, jak to podkreślił Mc Nair w swoim sprawozdaniu z roku 1944, panuje w Anglii przekonanie, że powszechne wykształcenie nie powinno zbytnio obciążać skarbu państwa, w wyniku czego budynki szkół państwowych nigdy nie są w dobrym stanie. W roku 1946 H. C. Dent, znany brytyjski ekspert w dziedzinie szkolnictwa napisał o przedwojennych szkołach powszechnych:

> **„ich poziom społeczny ...był zawsze niski ...Ilość uczniów w jednej klasie była zawsze za duża ... Ich nauczycielstwo otrzymywało zawsze niższe wynagrodzenie niż w jakiejkolwiek innej gałęzi szkolnictwa".**

Ten sam autor mówi również:

> **„W roku 1926 Komitet Doradczy Ministerstwa Oświaty doradzał reorganizację systemu nauczania elementarnego, stworzenia samodzielnych szkół stopnia wstępnego oraz szkół o charakterze zróżnicowanym stopnia wyższego. Reorganizacja ta aż do wybuchu wojny postępowała wolno i nierównomiernie. W roku 1939 była wykonana zaledwie w połowie".**

Ostatnie zdanie wskazuje wyraźnie, jak niewielki zasób energii włożono w ulepszenie szkolnictwa państwowego. To samo powiedział otwarcie brytyjski minister Oświaty w swoim bardzo krytycznym sprawozdaniu z działalności ministerstwa w roku 1948. Minister pisze:

> **„Cechą charakterystyczną jest duża liczba budynków szkolnych, pochodzących z zeszłego stulecia, i to we wszystkich częściach kraju, zarówno w okręgach miejskich jak wiejskich, przy czym niektóre budowle są w ogóle nieodnawiane. I tak np. w jednym z hrabstw południowych, o przeważającej liczbie osiedli wiejskich, małych miasteczek i osad o charakterze podmiejskim, 23% budynków szkół średnich i 72% budynków szkół powszechnych pochodzi z wieku XIX a 4% szkół średnich i 20% szkół powszechnych mieści się w budynkach liczących ponad 100 lat".**

Co „Daily Worker" komentuje w taki sposób: „Lecz nadal wyrzucamy nasze pieniądze na zbrojenia, a naszej oświacie pozwalamy zamierać".

Szkoły kościelne, uprawnione przez Ustawę Szkolną z roku 1944 do dalszego funkcjonowania pod warunkiem, że pokryją więcej niż połowę kosztów przebudowy i zmodernizowania swych budynków, są ogniwem pośrednim między wychowaniem państwowym a wychowaniem opłacanym przez rodziców. Lecz sympatie ich są zdecydowanie po stronie burżuazyjnego mieszczaństwa. Tak jak wszędzie na świecie, wpajają one przekonanie, że Bóg podzielił ludzi na biednych i bogatych i życzył sobie, by pozostali „w tym stanie, do którego zostali powołani". Szkoły kościelne są utrzymywane za pieniądze płacone pod wpływem wyrzutów sumienia przez bogatych wiernych, którzy mają nadzieję przy pomocy swych dobrodziejstw ułagodzić księży na ziemi a świętych w niebie.

Przedszkola i szkoły przygotowawcze prywatne, do których posyłają swe dzieci ludzie bogaci czy zamożni, są bardzo różnorodne. Ale jedną z rzeczy, której wszystkie one, pośrednio czy bezpośrednio, uczą — jest świadomość klasowa. Dzieci, które do nich uczęszczają, uważają się automatycznie za coś lepszego niż dzieci w bezpłatnych szkołach państwowych, i czują się niesłychanie „poniżone", jeżeli kataklizm materialny ich rodziny zmusi je przypadkiem przenieść się do szkoły państwowej. Wiem z własnego doświadczenia wyniesionego ze szkoły przygotowawczej, że nabytego wówczas, niechętnego stosunku do klas pracujących pozbyłem się dopiero w wiele lat później.

Możliwości przekroczenia bariery i otrzymania wykształcenia w szkole prywatnej nie istnieją dla dzieci z państwowych szkół powszechnych lub są zbyt nikłe, by brać je pod uwagę.

Na temat wychowawczych wartości szkół prywatnych H. C. Dent. pisze w swej pracy o szkolnictwie brytyjskim:

> **„Wśród szkół prywatnych znajduje się parę najlepszych szkół w kraju... Lecz większość z nich jest niewiele warta, o poziomie zazwyczaj niższym od poziomu szkół państwowych... Można jednak spotkać jeszcze rodziców, którzy uważają szkoły państwowe za instytucje niższe społecznie i są za mało inteligentni, by zrozumieć, co stanowi o dobrej szkole".**

Ci nieuświadomieni rodzice przysługują się dobrze sprawie kapitalizmu, który mało troszczy się o poziom wykształcenia dzieci swych naiwnych zwolenników ubiegających się o strzęp jego łaski. Jasnym jest, że w interesie kapitalistów leży, by dzieci burżuazji były przesycone mieszczańskim snobizmem, nie zaś, by chodząc do szkół państwowych nauczyły się tam poznawać wartość robotnika i słuszność jego sprawy.

Skończywszy szkołę elementarną państwową, prywatną czy też kościelną, dziecko angielskie może przejść do państwowej szkoły stopnia średniego, do „Grammar School" czyli do gimnazjum albo też do tak zwanej paradoksalnie szkoły publicznej — „Public School", która w istocie rzeczy jest, w przeciwieństwie do swej nazwy, bardzo ekskluzywną średnią szkołą prywatną.

Ustawa Szkolna z roku 1944 ustanawia przymus szkolny do 15 roku życia. Ponieważ jeszcze dziś jest w Anglii zaledwie parę szkół technicznych dla młodzieży wieku młodszego, przeto większa część dzieci po otrzymaniu wykształcenia elementarnego przechodzi do średnich szkół państwowych, gdzie otrzymuje dalsze wiadomości bardzo ogólnego charakteru, a więc przedstawiające małą wartość dla uczniów zamierzających po opuszczeniu szkoły pracować w przemyśle. Wynik jest dwojaki. Po pierwsze, szkoły te wypuszczają na świat całą armię młodych chłopców, którzy czują się wyżsi ponad pracę fizyczną a nie posiadają wykształcenia wystarczającego dla pracy intelektualnej; tym samym powiększają rzeszę urzędniczą, gdzie ze względów społecznych nie mogą konkurować z chłopcami z „Grammar School" i w rezultacie ograniczeni są do niższych posad o małych uposażeniach i bez widoków na przyszłość. Po drugie, rodzice, którzy w miarę możności chcą oszczędzić swym synom takiego losu, starają się ograniczyć okres szkolny do minimum i odbierają chłopców ze szkół, gdy dojdą do lat 15. W ten sposób chłopcy ci tracą najwartościowszy okres wykształcenia przeduniwersyteckiego: lata 16 — 18. Jednym z dalszych czynników jest konieczność zmuszająca rodziców do wykorzystania umiejętności chłopców dla zarobku.

Wynikiem tego źle przemyślanego systemu w zakresie szkół średnich jest więc po pierwsze: skazanie na egzystencję urzędniczą grupy młodych ludzi, którzy nie mają dość wykształcenia, by indywidualnie zdobyć sobie lepsze warunki, a których liczba jest zbyt wielka w porównaniu z zapotrzebowaniem na pracę, by umożliwić im jakieś osiągnięcia grupowe. Po drugie: dostarczenie przemysłowi ogromnej liczby półinteligentów, bez wykształcenia zawodowego; ta liczba niewykwalifikowanych pracowników jest użyteczna, gdy wojna czyni każdego pracownika wartościowym dla kapitalisty— w czasie pokoju dostarcza ona tej ilości bezrobotnych, która, jak szczerze przyznali niedawno brytyjscy i amerykańscy ekonomiści burżuazyjni niezbędna jest po to, by obniżać płace i poziom życia robotników.

Także dziewczęta opuszczają szkoły średnie państwowe z takim ładunkiem wiedzy, który po praktyce w pisaniu na maszynie i stenografii pozwoli im co najwyżej, do czasu znalezienia sobie męża, stać się maszynistkami; potem, jako że nie są zdolne do pracy interesującej a płacone są gorzej niż mężczyźni, idą całkowicie w niewolę domu i gospodarstwa domowego. Kiedy indziej dziewczęta te stają się sprzedawczyniami sklepowymi lub też pracownicami w fabrykach i podobnie jak ich bracia mają małe szanse awansu społecznego, bo nie posiadają kwalifikacji a liczba ich przekracza zapotrzebowanie. I one także, gdy tylko małżeństwo im na to pozwoli, uciekają do garnków i kuchni.

Państwowe szkolnictwo średnie jest więc zorganizowane najwyraźniej w interesie kapitalizmu a nie w interesie klas pracujących. Daje ono robotnikowi złudny pozór możliwości kształcenia się, jednocześnie zaś służy do stworzenia bezrobocia i obniżenia standartu życiowego.

Konieczna jest — i klasa robotnicza, gdyby tylko miała możność, doprowadziła by do tego — szeroka rozbudowa wykształcenia technicznego, które pomogłoby każdemu robotnikowi dobrze wykonywać swoją pracę, dałoby mu możliwość awansu i przygotowałoby go do odpowiedniego stanowiska, obecnie rezerwowanego dla synów burżuazji.

Młodzież, która otrzymała elementarne wykształcenie państwowe, ma przecież pewne ograniczone możliwości ominięcia szkół państwowych średnich i dostania się do „Grammar School" czyli do gimnazjum, które, w wypadku utrzymywania go przez państwo, co jest regułą obecnie, musi zarezerwować 25 proc. miejsc dla uczniów bezpłatnych a dalsze 25 proc. zatrzymać do dyspozycji miejscowych władz oświatowych. Ci ostatni uczniowie mogą uszeszczać do szkoły bądź zupełnie bezpłatnie, bądź też płacą tylko część czesnego w zależności od finansowych możliwości rodziców. Innymi słowy, jeżeli rodzice chcą, by dziecko ich otrzymało wykształcenie, muszą mieć świadectwo ubóstwa. Wolne miejsca w szkole podlegają oczywiście egzaminowi konkursowemu. Natomiast synowie i córki rodziców, którzy mogą pokryć czesne w całości, są dopuszczani po przejściu jedynie egzaminu wstępnego. Krótko mówiąc, dziecko robotnika, może otrzymać wykształcenie w gimnazjum wtedy jedynie, gdy jest wybitnie uzdolnione, przy czym próba jego inteligencji jest próbą narzuconą przez światopogląd burżuazyjny, natomiast dziecku ze sfer mieszczańskich wystarczy, że jego rodzice mogą mu naukę opłacić.

Gimnazja były początkowo dostępne jedynie dla synów wolnych zawodów i kupców, którzy mogli pokrywać całe czesne. Jednakże większa część szkół tego typu była w znacznym stopniu wspierana przez kapitalistów, których dobroczynność uchodziła za dowód zrozumienia potrzeb „dobra ogólnego", gdy w gruncie rzeczy miała na celu utrzymanie różnic klasowych lub zwrócenie na siebie uwagi czynników doradzających królowi w sprawie nadawania tytułów szlacheckich.

Niełatwa to rzecz dla ludzi niezaznajomionych z zawiłościami społeczeństwa brytyjskiego zrozumieć, dlaczego Ministerstwo Oświaty pozwala na jednoczesne istnienie bezpłatnego szkolnictwa średniego państwowego i subsydiowanych gimnazjów. Lecz ja sam, którego rodzice rujnowali się, by umożliwić mi uczęszczanie do angielskiego gimnazjum, mogę odpowiedzieć jednym zdaniem: powodem jest przywilej klasowy. System szkół prywatnych stanowi część szantażu różnic klasowych. Pieniądze wydane przez rodziców na opłaty szkolne mają zwrócić się w dwojaki sposób: po pierwsze, przez podniesienie lub utrzymanie ich własnego prestiżu klasowego („ależ mój drogi, tylko niższe sfery posyłają swych synów do bezpłatnych szkół") — i po drugie, przez stworzenie lepszej szansy życiowej dla tych synów; nie dlatego, że otrzymają oni solidniejsze wykształcenie niż w szkole średniej państwowej, lecz dlatego, że jako instytucja gimnazjum ma lepszą markę klasową. Fakt, że więcej dzieci pobiera obecnie naukę w szkołach średnich państwowych, niż miało to miejsce w czasach mojej młodości, służy tylko do pogłębienia przepaści między tą formą wykształcenia a wykształceniem gimnazjalnym.

Gimnazjaliści w moich czasach, tak zresztą jak i dziś, patrzyli z góry zarówno na chłopców ze szkół państwowych, jak i na tych, którzy byli zwolnieni od czesnego. Przepaść społeczna leżała nie tylko między gimnazjum a szkołą państwową, między uczniami „płatnymi" a „bezpłatnymi", lecz zarysowywała się już w nastawieniu naszych rodziców, którzy sami byli pracodawcami lub też mieli wpływ na zatrudnienie. Ich stosunek do wykształcenia był widoczny, gdy przyjmowali na posady i gdy absolwent gimnazjum, zwłaszcza niezwolniony od opłat, miał automatycznie przewagę nad chłopcem z państwowej szkoły średniej.

Tak więc i gimnazja, pomimo miejsc bezpłatnych i ulgowych, przyznawanych synom robotników, stanowią istotny element ustroju kapitalistycznego. Głównym zadaniem gimnazjum jest zachowanie mieszczańskiej klasy średniej, która przy pomocy snobizmu każącego rodzicom cieszyć się, gdy mogą się ocierać o „lepszych od siebie", daje tej klasie złudzenie, że jest prawnie uznanym czynnikiem panującym w kraju.

Trzeci typ szkoły powyżej poziomu wstępnego to tak zwana „szkoła publiczna" — Public School, która jest w istocie prywatną i bardzo ekskluzywną szkołą średnią. Szkoły te są osławione jako najbardziej charakterystyczna cecha szkolnictwa brytyjskiego. Szkoły publiczne, do których oczywiście zaliczają się: Eton, Harrow, Winchester, Westminster, Rugby, Charterhouse i około 60 innych, są całkowicie utrzymywane za pomocą wysokich opłat i zapisów i wobec tego są zupełnie niezależne od Ministerstwa Oświaty. Są to potężne twierdze snobizmu klas arystokratycznych, wolnych zawodów i wyższego mieszczaństwa.

H. C. Dent, w swej pracy „British Education" wydanej w roku 1948, sprzyja wyraźnie szkołom publicznym, niemniej jednak przyznaje:

> **„Wstęp do szkół publicznych jest zarezerwowany dla dzieci zamożnych rodziców. Fakt, że wielu rodziców o ograniczonych zasobach finansowych ponosi wielkie ofiary, by posłać dzieci do szkół publicznych, nie umniejsza prawdy tego twierdzenia: bo nawet w tym wypadku rodzice są stosunkowo zamożni. Uczniowie nie reprezentują przekroju społeczeństwa, lecz jedynie parę jego warstw położonych obok siebie".**

Prof. G. M. Trevelyan, rektor Trinity College w Cambridge, w swojej „English Social History" z roku 1942 pisze:

> **„Klasy średnie społeczeństwa znalazły przy pomocy zreformowanych szkół publicznych dla swoich synów wejście do „klas rządzących". Ziemiaństwo, wolne zawody i świeżo upieczeni przemysłowcy, mając wspólne wychowanie, utworzyli rozszerzoną, nowoczesną arystokrację... Klasa najwyższa, wyższa klasa średnia i wolne zawody zespoliły się w szkołach prywatnych, oddzielając się wskutek tego od reszty narodu wychowywanego w innym systemie oświatowym. Tendencja do podziału klasowego, zaakcentowana podziałem geograficznym na dzielnice odrębnych „sfer" na przedmieściach wielkich miast nowoczesnych, została jeszcze bardziej podkreślona przez system wychowawczo-oświatowy".**

Przytoczone ustępy wystarczają, by zakwalifikować brytyjskie „Public Schools" jako najważniejsze podpory kapitalizmu. Chociaż niektóre z tych szkół powstały w XIV i XV wieku, w rzeczywistości „system szkół prywatnych" datuje się z wieku XIX i w dużej mierze zawdzięcza powstanie drowi Tomaszowi Arnoldowi. Jako dyrektor szkoły w Rugby w latach 1828 — 1842, dr. Arnold usiłował wytworzyć typ „chrześcijańskiego gentlemana", który miał stać się kierownikiem życia religijnego, politycznego i społecznego narodu. Dr. Arnold największy trud zadał sobie, by wyrobić — jak to nazwał —„charakter", co w języku potocznym oznaczało po prostu światopogląd człowieka wychowanego w przekonaniu, że jako jednostka wyższa powinien być obsługiwany przez innych. System ten dawał — i jeszcze daje — dużą władzę dyscyplinarną starszym chłopcom, którym wolno bić młodszych kolegów, aby rozwijać tym sposobem własne „ego". Chłopcy młodsi, „fuksy" muszą usługiwać starszym, czyścić im buty i zmywać talerze. Nie ma to jednak charakteru jakiegoś zrównania klasowego; jest to zwyczajne wysługiwanie się młodych bałwochwalców swoim bohaterom, przy czym usługujący tęsknie wyczekują dnia, w którym sami dostąpią rangi bohatera i z rózgą w ręku zawołają, by podać im śniadanie. Świadomość chłopców, że powołaniem ich jest rządzenie, pogłębia się na boisku sportowym, gdzie nawet gry prowadzone są inaczej niż w szkołach państwowych — i dalej w szkołach oficerskich.

Lecz to kształcenie na wodzów nie obejmuje przedmiotu poznawania mas, którym mają przewodzić. Zacytujmy jeszcze raz H. C. Denta:

> **„Ich ignorancja jest jeszcze przypieczętowana okolicznością, że nauczyciele rekrutowali się niemal wyłącznie z tej samej klasy społecznej. Wychowani w ekskluzywnym otoczeniu, w którym wygody i komfort, potrzebne do ułatwionego życia, uznawane były za rzeczy naturalne, chłopcy ze szkół publicznych nie są w stanie zrozumieć, czym jest konieczność obywania się bez tych wygód lub też zdobywania ich wyłącznie ciężką pracą i przedsiębiorczością. I wreszcie, z powodu ekskluzywności i zakresu swego wykształcenia, rozpoczynają życie dojrzałe z wyższego poziomu, niż ich koledzy, a nie mając zrozumienia dla niższego standartu życiowego, w całej swej karierze i w życiu społecznym zachowują tę ekskluzywność, którą wpojono im w szkole".**

Nic więc zapewne dziwnego, że dyplomaci, wszyscy niemal wychowani w takiej atmosferze, gdy są akredytowani w krajach demokracji ludowej, podchodzą do swego zadania z odrazą i okazują kompletny brak zrozumienia dla celów i dążeń przodującej w tych krajach klasy robotniczej. Nic również dziwnego, że słynny Matthew Arnold, syn dra Arnolda, twórcy systemu szkół prywatnych, określił angielską klasę rządzącą jako „barbarzyńców".

Nie ma potrzeby podkreślać, w czyim interesie jest podtrzymywanie brytyjskiego systemu szkół prywatnych.

Przejdźmy z kolei do rozpatrzenia cech najwyższego szczebla systemu szkolnictwa— uniwersytetu. Żaden student nie może mieszkać w Oksfordzie lub Cambridge i bodaj w skromnym zakresie uczestniczyć w życiu tych społeczności, jeżeli jego dochody są mniejsze, niż 350 funtów szterl. czyli około 560.000 zł. rocznie. W uniwersytetach nowoczesnych, takich jak Birmingham, Nottingham, Manchester itd., suma ta wynosi około 420.000 zł. — jest więc nadal nieosiągalna dla niezamożnych. Ktoś musi płacić za każdego studenta — mogą to być rodzice, państwowe władze oświatowe lub też fundacje szkolne czy uniwersyteckie. Około 40 proc. studentów otrzymuje pomoc różnego rodzaju, lecz tylko w małej ilości wypadków jest to całkowicie bezpłatna nauka, a nigdy nie przydziela się żadnej zapomogi rodzinie, przypuśćmy, dwudziestoletniego studenta, która byłaby na jego utrzymaniu, gdyby zarobkował, zamiast nadal się kształcić.

W roku 1948 było zaledwie 800 stypendiów państwowych dla uniwersytetów, w których ogólna liczba studiujących sięga 100.000. Jest więc jasne, że większość studentów rekrutuje się z domów zamożnych. Mówi się, że każdy uzdolniony młodzieniec czy dziewczyna może otrzymać w dzisiejszej Anglii wykształcenie uniwersyteckie, jednak w dalszym ciągu obowiązuje dawna reguła: młodzież z klas pracujących może kształcić się, jeśli jest wyjątkowo uzdolniona, lecz dzieci burżuazji, nawet tylko miernie zdolne, wykształcenie to mogą otrzymywać.

W wyniku tego uniwersytety, które mają dawać wykształcenie ogólne — Oksford i Cambridge — są poza orbitą życia społeczeństwa, a powstałe w innej epoce, dziś pozostają daleko w tyle za społecznym rozwojem narodu. Coraz trudniej jest absolwentom uniwersytetów bez wybitnych zdolności uzyskać odpowiednią do swego wykształcenia posadę. Przenoszą się wobec tego do handlu i instytucji wpół oficjalnych, gdzie jednak zawsze prawie faworyzowani są ci absolwenci uniwersytetu, którzy wyszli z szkół prywatnych lub przynajmniej z gimnazjów, i gdzie uczniowie szkół państwowych rzadko są traktowani na równi pod względem towarzyskim.

Natomiast uniwersytety nowoczesne są wysoce wyspecjalizowane i posiadają charakter techniczny: uniwersytet włókienniczy w Leeds, inżynieryjny w Manchester, rolniczy w Reading.

(Dokończenie na str. 7)

ROMAN KOŁONIECKI

MAZOWSZE

Padają deszcze... Nie wiem: czy bujnieją włosy
Dziewczętom od tych deszczów? czy mnożą się chabry?
Lecz zboże rośnie w oczach, a szybciej niż kłosy
Rosną elewatory i kominy fabryk.

To tak niebo ojczyste korzeniami wrasta
W bruki, waśń w szczątkach ruin uśmierzając piasią!
Pęcznieją tkanki mostów i w podglebiu miasta
Jasne gmachy kiełkują z cegieł niby z nasion

Drga stężała moc życia w niegaszonym wapnie,
Niczym w gniazdach bezpiecznych ptaki przed wylęgiem;
Dłoń rozgrzewa kilofy, gdy rytmy ich bratnie
Z żył ziemi wygarniają żelazo i węgiel.

Deszcz, deszcz, deszcz... Ciężkie krople chłodzą skroń murarzom —
Jak cień drzew, gdzie nadzieja błogo zielenieje;
Na liściach młodych dębów jak łatki się ważą,
Potem w piasek Mazowsza wsiąkają — i w dzieje.

JALU KUREK

ELEGIA NA ŚMIERĆ DRZEWA

Łyżko śliwna,
wróconna w kształcie do czasu,
gdy strząsano z ciebie smakowity owoc!

Beczki piwne!
Sągi całopalne bukowego lasu!
Ławy i domy!
Klony! Jesiony! Trzony!
Jaworze rozpłakany w skrzypcach!
Kubku lipowy pachnący lepko i młodnie lipcem!
Wieloraka, różnorodna budowo!
Wszystkie drewniane rzeczy!

Wróćcie do lasu rosnąć na nowo.

Drzewa zielone! Szumne drzewa!
Płacze za wami powietrze.
Umilkła wasza pieśń.
Dzieci szpilkowe! Dzieci liściaste!
Zlitujcie się nad miastem.
Poległe za naszą sprawę
bądźcie nam łaskawe!
Człowiek łaknie drzewa.
Drzewo się pali i śpiewa.
Drewno, obrobione celowo i ściśle,
ważne w przemyśle.

Jodło idąca na rzeź!
Jodło zdrowa i silna!
Siostro nieżywa!
Bądź nam przychylna!

RYSZARD MATUSZEWSKI

Próba humanizmu socjalistycznego

ADAM WAŻYK należy do tych nielicznych stosunkowo indywidualności pisarskich, które manifestują się we wszystkich zasadniczych rodzajach literackich: jest poetą, prozaikiem, dramaturgiem, a także tłumaczem, publicystą i krytykiem. Ta wielostronność nie może nie określać w pewnym sensie charakteru działalności krytycznej tego pisarza. Jest ona u Ważyka niewątpliwie marginesem własnej twórczości oryginalnej, wyrazem najbardziej osobistego stosunku do wybranych dzieł i zagadnień z zakresu literatury i sztuki.

Świadczy o tym między innymi zawartość treściowa wydanego niedawno zbioru jego szkiców krytycznych pt. „W stronę humanizmu"*). Składają się na nią: rozprawka o „Źródłach współczesnej poezji we Francji", która weszła także jako wstęp do opracowanej przez Ważyka „Antologii współczesnej poezji francuskiej", druga podobna rozprawka o poezji Majakowskiego, poprzedzająca wydany niedawno wybór wierszy tego poety, szkic o tłumaczeniu wierszy rosyjskich, powstały na marginesie pracy autora nad przekładami Puszkina, dwa szkice o malarstwie, z tego jeden, „Przechadzka po muzeach paryskich", o charakterze artystycznych notatek z odbytej podróży, wreszcie sześć szkiców typu wyraźnie polemicznego, reprezentujących stanowisko Ważyka w bardziej zasadniczych dyskusjach literacko - artystycznych, jakie toczono na łamach naszej prasy literackiej w latach 1946—1947.

Myliłby się jednak, kto by sądził, że ów ton osobistych zainteresowań autora, nadający wyraźny charakter jego książce i przez niego samego podkreślony na wstępie, czyni z niej również w sensie obiektywnym zjawisko marginesowe. Jest wręcz odwrotnie. Niewielki rozmiarami zbiór szkiców Ważyka zasługuje na najbaczniejszą uwagę jako książka o znaczeniu wyjątkowym w naszej krytyce współczesnej.

Rozstrzyga o tym znaczeniu stanowisko, jakie zajmuje Ważyk w odniesieniu do spraw, które porusza. Nie chodzi przy tym tylko o to, że jest to stanowisko, w którym uderza usilna dbałość autora o konsekwentne i logiczne powiązanie własnych koncepcji estetycznych i krytycznych z teorią marksistowską. Ważny jest również fakt, w dużej mierze zresztą właśnie z zajęcia tej postawy wynikły, iż u Ważyka każdy z pozoru, nawet marginesowy, problem ujęty jest tak, że przestaje być marginesem, ujawnia swe najściślejsze związki z zagadnieniami o charakterze zasadniczym dla kierunku rozwoju naszej literatury względnie malarstwa, dla całej naszej problematyki kulturalnej.

Tak na przykład zagadnienie stylu książki Gołubiewa służy jako odskocznia do rozważań na temat stylu prozy polskiej w ogóle, essay o zbiorze opowiadań Jarosława Iwaszkiewicza „Nowa miłość" nie jest tylko oceną filozofii artystycznej tego pisarza, lecz polemizuje z postawą o wiele ogólniejszą, łączy się w całość z zamieszczonym obok szkicem pt. „Filozofia kapitulacji" i mówi o sprawach niezwykle istotnych dla rozwoju naszej literatury współczesnej. Otwierający książkę szkic „O Norwidzie i norwidyzmie" zawiera nie tylko interesujące same w sobie rozważania objęte tytułem szkicu, lecz także ideologiczne perspektywy na całokształt zagadnienia stosunku do naszej narodowej tradycji literackiej. Podobnie szkic o poezji francuskiej jest rzutem oka na proces rozwojowy literatury europejskiej ostatniego stulecia w ogóle, a zagadnienie „sporu o powieść" z bieżącej polemiki na temat usterek beletrystyki współczesnej wyprowadza zasadnicze postulaty dotyczące rozwoju tego gatunku literackiego na najbliższą przyszłość, włączając się w szeroki nurt toczonej w latach powstawania książki dyskusji o realizmie. Wykład zasadniczej koncepcji kultury zawiera wreszcie polemika z essayem Kazimierza Wyki o oddziaływaniu filmu na malarstwo i literaturę.

Jak można by określić stanowisko artystyczne Ważyka na podstawie jego wypowiedzi krytycznych? Niewątpliwie w pewnym najbardziej lapidarnym skrócie wyraża je w intencji autora tytuł książki: „W stronę humanizmu". Jest to jednak, przy kompletnym jeszcze u nas chaosie pojęć z terminem tym związanych, określenie nie dla każdego jasne. Spróbujmy zdać sobie sprawę z tego, co ono u Ważyka oznacza.

Podstawą sądów Ważyka o sztuce jest, jak wspomnieliśmy, dążenie do powiązania własnych koncepcji estetycznych z teoretycznymi podstawami marksizmu, ujmowanie zjawisk kultury w ich pełnym związku z procesami rozwojowymi, jakim podlegają zgodnie z teorią materializmu historycznego i dialektycznego. Takim oparciem sądów własnych o marksistowską analizę rozwoju środowiska społecznego i jego ideologii, oraz o analizę artystyczną stwierdzającą jakość tej ideologii manifestującej się w utworach poetyckich jest studium „O Norwidzie i norwidyzmie". Podobną analizą ideologii poetyckich w zestawieniu z ekonomiczno-społecznymi przemianami towarzyszącymi kolejnym fazom rozwoju imperializmu, jest rozprawka o „Źródłach współczesnej poezji we Francji". Szkice na tematy malarskie zawierają w swej interpretacji rozwoju europejskiej sztuki plastycznej w drugiej połowie XIX i na początku XX wieku również ten sam układ odniesień.

Sądy Ważyka opierają się — zgodnie z teorią marksistowską — na przekonaniu o tym, że zjawiska artystyczne podlegają fazom wzrostu i upadku, uwarunkowanym przez zależność świadomości artysty i środków artystycznych od przemian społecznych i gospodarczych. Z przekonania o istnieniu tego rodzaju spraw rządzących przemianami w sztuce, wynika także dalej wybór określonych kierunków artystycznych, oraz doszukiwanie się we wszystkich badanych zjawiskach przede wszystkim tego, co rozstrzyga o ich funkcji w ogólnych procesach rozwoju: artystycznego wyrazu określonego stanu świadomości twórcy, względnie treści historycznych epoki, jakie niezależnie od świadomości twórcy dzieło reprezentuje. Ta właśnie historyczna treść rozstrzyga o humanistycznej wartości utworu, a umiejętność świadomego jej ukazania określa ideologicznie artystę.

Jeśli wyjdziemy z tych założeń, stanie się dla nas jasny sposób, w jaki Ważyk interpretuje zarówno francuską poezję i francuskie malarstwo ostatniego stulecia, jak rozwój wspaniałej indywidualności poetyckiej Majakowskiego, jak wreszcie drogi przemian dawnej i współczesnej literatury polskiej. W szkicu o poezji francuskiej ustala nie tylko zależności teorii poetyckich od współczesnych im tendencji filozoficznych, ale także zależność filozofii od przeobrażeń ekonomicznych i polityczno-ustrojowych. Podkreśla opóźnienie rozwoju form artystycznych w stosunku do rozwoju ideologii, np. uporczywość środków poetyckich symbolizmu, „które przeżyły kilka poglądów estetycznych". Ujmuje dzieje przemian wyobraźni jako odbicie dziejów walki klasowej i — aczkolwiek pełen zrozumienia dla skomplikowanego charakteru owych przemian, tłumaczący sumiennie i pomysłowo ich zawiłe drogi — opowiada się wyraźnie po stronie tych, co torują ścieżkę zwycięstwa nowej klasie i nowej wyobraźni.

Podobnie ma się rzecz z malarstwem. Urzekająca dla cokolwiek zorientowanego amatora „Przechadzka po muzeach paryskich" to przepyszny obraz walki, jaką toczy w Ważyku estetа i koneser problematyki artystycznej dziewiętnastowiecznego malarstwa ze świadomym, marksistowskim humanistą. Humanista zwycięża. Czytamy: „Rozstrzelanie Maksymiliana" Manet malował bardzo umiarkowaną techniką impresjonistyczną, a jednak ten obraz jest żenujący. Temat wymaga decyzji moralnej, której zabrakło w obrazie. Nie wiadomo, czyją bierze stronę malarz, Napoleona czy Juareza. Egzekucja w Meksyku wywołała we Francji ogromne wrażenie. Manet namalował wrażenie i tyle. Bo przecież nic innego nie maluje się kaprysami światła".

W innym miejscu: „W Jeu de Paume wiszą: „Grający w karty" Cézanne'a. Jak samodzielnie grają tu plamy barwne, odłączone od przedmiotów, jak dalece jednak bryły są umocnione! Interesuje mnie bardziej zachowana w tej grze wierność dla klimatu obyczajowego. Kiedy po wyjściu z Muzeum przejdziemy się po wyspie św. Ludwika i zajrzymy do bistro, które zachowały jeszcze charakter z końca ubiegłego stulecia, kiedy wejdziemy do lokalu w mieście prowincjonalnym, spodziewamy się jeszcze dojrzeć w kącie tych dwóch dziennikowych bywalców grających w karty. Cézanne jest malarzem klimatu. Mówią o nim, że odkrył pejzaż francuski. Dzięki dążności do syntetycznego ujmowania kształtów wykrył i ogłosił stałe jego cechy. Kiedy tylko pociąg jadący do Francji wjeżdża na odcinek Strassburga, za oknami wagonu ukazuje się Cézanne. Malarze mówią, że w tym odkryciu pejzażu rodzimego jest wielkość. Pochylam przed tą wielkością głowę. Smutna to epoka, która pozostawiła malarstwu tylko wielkość tej kategorii. Cézanne zachował w to prawdy, ale prawdy obojętnej moralnie — tak mi się przynajmniej wydaje. Uwięziła mnie na długo martwa natura z wazą do zupy. Zdawało mi się, że to z Małego Pałacu, gdzie zebrano cztery wieki malarstwa francuskiego, wszedł do Jeu de Paume duch Chardina, jego absolutne przekonanie o wartości wszystkiego, co stanowi życie mieszczanina. Chardin wkłada pewność moralną w gospodarcze funkcje kotłowni, w najzwyklejsze czynności gospodarskie, jak kwaszenie kapusty, w klosz z owocami. Chardin jest mieszczaninem XVIII wieku, Cézanne stoi na progu wieku XX, jego syntetyczność jest wieloznaczna i można z niej wyciągnąć dowolne wnioski. Dlatego ta waza obok koszyka z jabłkami wydaje się podejrzana, może to tylko z pozoru waza..."

I dlatego właśnie, że humanista zwycięża w Ważyku bezapelacyjnie, również kiedy chodzi o ocenę malarstwa współczesnego, nie waham się przytoczyć także jego zdania o impresjonizmie, które wydaje mi się słuszniejsze niż drukowana niedawno w „Kuźnicy" opinia krytykująca ten kierunek:

„U impresjonistów pod hasłem światła kryje się ekscytacja wrażenia, rozjątrzone spojrzenie na przyrodę i świat, wywołane nie tyle odkryciami naukowymi, ile przede wszystkim ówczesnym życiem mieszczaństwa. Kiedy wszedłem do Jeu de Paume, zewsząd otoczyła mnie tematyka obyczajowa tak obfita, jakiej nie spotyka się przedtem w malarstwie francuskim XIX wieku. Niesłuszna jest opinia, jakoby impresjoniści zwęzili tematykę malarską. Przeciwnie, rozszerzyli ją w pewnym sensie, bo przenieśli do altany kawiarnianej i do cyrku, za kulisy opery, do buduarów półświatka, do knajpy. To inny odcinek obyczajowy niż u Barbizończyków, styl mieszczaństwa i przylegających do niego kulis, pokazany jedyny raz w malarstwie, bo w historycznym momencie rozkwitu tego stylu życia, to publika pierwszych wystaw światowych w Paryżu, spłoszona potem przez wojnę i Komunę, a potem znów odrodzona za Republiki..."

Troska o pogląd oraz interpretację, zgodne z prawem historycznego rozwoju, cechuje również stosunek Ważyka do literatury polskiej — dawnej i nowej. Na tle opartych o analizę epoki wywodów Ważyka jasna wydaje się jego opinia o Norwidzie, stwierdzająca, że poetę tego należy przywrócić jego epoce i ukazać jego związki z francuskimi parnasistami. Zrozumiała wydaje się także surowa ocena ideologii Norwida z całym jej balastem metafizycznym, zwłaszcza tam, gdzie chodzi o późniejsze, współczesne próby jej interpretacji i aktualizacji. Sprawą otwartej dyskusji pozostać może co najwyżej problem ideologicznych sprzeczności i niekonsekwencji w stanowisku tego poety, typowego reprezentanta zdeklasowanej inteligencji polskiej pokolenia poromantycznego, oraz sprawa jego artystycznego nowatorstwa, pięknie zarysowana przez Jastruna w jego przedmowie do „Poezji wybranych" Norwida.

Kryteria oceny współczesnej literatury polskiej i stawiane jej postulaty wynikają u Ważyka konsekwentnie z poglądów na ogólne prawa rządzące rozwojem zjawisk artystycznych. W syntetycznym „Sporze o powieść" Ważyk opowiada się za intersubiektywizmem oceny moralnej a przeciwko psychologistycznemu subiektywizmowi w postawie pisarza sądzącego czyny ludzkie; dalej, za „czynną konstrukcją ludzkiego losu", tj. takim stawianiem postaci bohatera utworu literackiego, przy którym byłby on czynnym podmiotem wydarzeń, a przeciwko konstrukcji „biernej", czyniącej z bohatera jedynie ofiarę wydarzeń. W ten sposób odgradza się od ideologii „małego realizmu" z jego mitem „szarego człowieka".

W polemice na temat gatunków literackich w prozie Ważyk przeciwstawia się pomieszaniu fikcji powieściowej z prozą reportażowo-pamiętnikarską w imię racjonalistycznej, obiektywizującej koncepcji powieściowego realizmu, a wbrew tezom usprawiedliwiającym takie pomieszanie, mającym, jak uzasadnia, u podłoża irracjonalistyczną filozofię „bezpośrednich" doznań i przeżyć, oraz tendencje ekspresjonistyczne. Trzymając się zasad tradycyjnego, dziewiętnastowiecznego podziału gatunków literackich, Ważyk stara się odeprzeć twierdzenie, jakoby bronił zasad klasycznej, normatywnej estetyki: podział klasyczny wynikał z norm filozoficzno-estetycznych starożytności, rozróżniających lirykę i epikę, tragedię i komedię, retorykę i dydaktykę. Rozwój powieści rozbił zasady klasycznej estetyki. Podział na powieść, poezję, dramat, reportaż, pamiętnik — jest utrzymany w kategoriach, nie mających nic wspólnego z jej normami, ma charakter praktyczno-użytkowy.

Ważyk broni realistycznej konstrukcji powieściowej, podkreślając jej dialektyczny charakter. Pisze: „Postuluje się dla prozy powieściowej wielkie realia społeczne. Ten postulat jest słuszny tylko wtedy, kiedy będziemy domagali się równocześnie konkretnego ujęcia tematu w konkretnej sytuacji życiowej. Postuluje się socjologiczną konstrukcję ludzkiego losu. Ten postulat trzeba uzupełnić wymaganiem takiej konstrukcji losu ludzkiego, aby prawda stosunków społecznych ukrywała się za urodą jednorazowego zdarzenia. Domagajmy się typowości charakteru, ale tylko takiej, która mieści się w zindywidualizowanym obrazie człowieka".

Adam Ważyk

Występuje przeciwko tzw. „obronie pisarskiego rzemiosła", podającej jako wzór tego rzemiosła wyłącznie wartości literatury okresu schyłkowego — środki obrazowania, „tkankę narracji". „Dla tych, którzy myślą o prozie typu realistycznego, rzemiosło ma szersze znaczenie: dotyczy kompozycji utworu, równowagi między techniką przedstawienia rzeczy a techniką opowiadania, rozkładu materiału na dialog i komentarz oraz wiele innych rzeczy wzgardzonych, a tak trudnych do opanowania dla pisarzy przodujących intelektualnie, ale wychowanych w okresie rozpadu kryteriów artystycznych". Atakuje wynaturzenia stylu i złe tradycje językowe młodopolszczyzny na marginesie krytyki książki Gołubiewa. Atakuje filozofię, w myśl której wszelki, świadomy i celowy wysiłek człowieka w życiu jest daremny — na marginesie książki Iwaszkiewicza. Atakuje wreszcie ahistoryczność ujmowania zagadnień kulturalnych w essayu Wyki o oddziaływaniu filmu na literaturę i malarstwo, rozprawiając się pośrednio z nagminnie uprawianym w ostatnich latach przed wojną typem essayu półpoetyckiego, który schyłkowy pseudointelektualizm i literackość łączył z dowolnością i fantastyką w posługiwaniu się elementami wiedzy humanistycznej.

Większość wypowiedzi krytycznych Ważyka wyrosła na tle toczonych polemik. Ważyk jest urodzonym, jeśli tak powiedzieć się godzi, polemistą. Polemika pobudza tok jego myśli, wyostrza styl, naprowadza na najcelniejsze sformułowania. Rzecz jasna — dla każdej polemiki rzeczą najistotniejszą jest jej aktualność, która słabnie z czasem, gdy chodzi o szczegóły personalne, a pozostaje czymś trwałym tam, gdzie w grę wchodzi istota zagadnienia. Ważyk w sposób umiejętny usunął z polemik, które znalazły się w jego zbiorze, wszelkie elementy doraźności: „Gdzie tylko było to możliwe bez naruszenia toku myśli, starałem się usunąć nazwiska adresatów, bo z biegiem czasu staje się obojętne, czyja opinia dała pobudkę do polemiki, ważna jest tylko treść sporu". Na marginesie tego zabiegu krytyka warto podkreślić, że ostry i aż zaczepny ton polemiczny Ważyka nigdy nie zawiera w sobie elementu rozgrywek personalnych, zawsze wyłącza wyraźnie osobę atakowanego, a kładzie nacisk na samo zagadnienie.

Książka Ważyka, dostępna niewątpliwie jedynie dla czytelnika obeznanego z problematyką artystyczną, jest pisana w sposób przejrzysty i zwarty, co wyróżnia ją zdecydowanie korzystnie od większej części naszej produkcji krytycznej. Zawdzięcza to niewątpliwie w dużej części racjonalizmowi metody, jaką się posługuje, ponadto osobistemu talentowi publicystycznemu autora. Zawiera skondensowany ładunek treści myślowej, której ujęcie i zebranie razem stanowi ważny wkład w zasoby naszej wiedzy krytycznej.

Ryszard Matuszewski

*) **Adam Ważyk.** W stronę humanizmu. Sp. Wyd. „Książka", W-wa 1949, str. 154.

Z wystawy polskiego przemysłu lekkiego w Moskwie

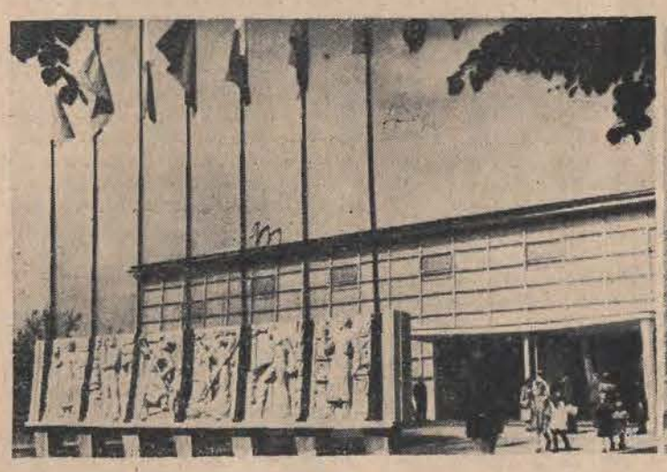

Ogólny widok pawilonu

Publiczność moskiewska ogląda eksponaty.

KANDYD

Spacer nad Wisłą

Nareszcie po niepogodach nastały piękne dni. Rozkwitły późne kwiaty o mocnych, nasyconych barwach na przywróconych pokojowemu ładowi i harmonii plantacjach miejskich. Któregoś wieczora zrobiłem spacer uporządkowanym wybrzeżem Wisły z Żoliborza na Powiśle. Patrząc na lekki zarys mostu Śląsko-Dąbrowskiego, na biel jego przęseł zlewającą się w świetle zachodu nieomal w jedno z perłowym połyskiem wody i nieba, co, jasne na horyzoncie, wyżej ciemniało już i zaczynało połyskiwać gwiazdami, pomyślałem o tym, że dziesięć lat temu też oglądałem Warszawę z mostu, przypatrywałem się wybrzeżu, perłowej barwie wody i ciemniejącego nieba.

Tak, kolor kwiatów, wody i nieba był taki sam tamtego lata. Nawet potop elektrycznego światła, który w pewnej chwili zalał nowo wybudowaną dzielnicę, topiąc kontury ruin w cień coraz głębszy, jakże bardzo przypominał sznureczek odbitych w wodzie świateł ówczesnej, niespalonej Warszawy!

A jednak myśląc o owej ostatniej przedwojennej przechadzce po wybrzeżu, tym piękniejszej, że odbitej w oczach istoty, z którą, o dziesięć lat młodszy, sprzęgałem właśnie swój los, nie mogę jeszcze i teraz pozbyć się uczucia przykrego ucisku w okolicy serca, którego już wówczas doznawałem i które zmąciło na zawsze owo najpiękniejsze wspomnienie. Następnego dnia pociąg uwiózł mnie odzianego w wojskowy mundur daleko w stronę zagrożonych granic państwa, a w tydzień później inaczej wyglądało już niebo nad Warszawą, za dnia rozpaczliwie pogodne, nocą czerwone od łun.

Wracając dziś, po dziesięciu latach, do okrutnych wspomnień miesiąca, co za wielu ludźmi z mego pokolenia zatrzasnął gwałtownie i raz na zawsze wrota ufnej, młodzieńczej nieświadomości, myślę często o tym, jak się to stało, iż niektórzy z nas gorzką wiedzę jaką miesiąc ten przyniósł, posiadali już przedtem, a inni wówczas dopiero zdobyli ją w sposób nagły i bolesny. Myślę o tym, na jak wielką cześć i szacunek zasługują ci, co, jak choćby poległy we wrześniu Marian Buczek, chwyciwszy w owych dniach karabin w dłonie, zdawali sobie dobrze sprawę z tego, o co walczą, jak bardzo wyprzedzili świadomością innych, którym dopiero widok klęski w łuku Wisły rozwiał ostatnie złudzenia.

Jedno jest pewne: dla ludzi, co umieli patrzeć i wyciągać wnioski z faktów, po doświadczeniach Września na dalsze złudzenia nie było już miejsca. Sojusz z państwami na zachodzie nie mógł nas uratować, a wroga polityka względem Związku Radzieckiego zgubiła nas ostatecznie. Jakże mogliśmy liczyć pół roku przedtem wylityków, którzy pół roku przedtem wydali Niemcom w ręce państwo rządzone przez ludzi o wiele wierniejszych sojuszom, niż Polska Mościckiego i Becka? Polityka Monachium miała zbyt głębokie uzasadnienie w interesach warstw rządzących państwami zachodnimi, by można było liczyć na całkowite jej zaniechanie z ich strony, nawet w obliczu śmiertelnego zagrożenia wolności ich własnych ludów. Cóż ich w końcu obchodziła ta wolność wobec rosnących dywidend? Jeżeli nawet decydowali się na wojnę z Hitlerem, to — bądźmy szczerzy — nie w imię „frazesów" o wolności czy demokracji, którymi można było w nieszkodliwy sposób mydlić oczy naiwnym. Zdecydowali się na nią, gdyż zbyt niebezpieczny i zbyt bezczelny w swoich pretensjach okazał się ów niedoszły sojusznik, którego hodowali pieczołowicie przez długie lata, ufając, iż stanie się ich powolnym narzędziem w o wiele poważniejszej rozgrywce.

Dzisiaj dla przedstawicieli głównych sił światowego imperializmu jest rzeczą jasną, że doraźne, wewnętrzne niebezpieczeństwo, jakie stanowił dla nich rosnący w siłę hitleryzm, już im nie zagraża. Natomiast nieusunięte, zdolne do ukłuć żądła pokonanego faszyzmu mogą być tylko pożyteczne w walce o władzę nad światem i jego bogactwami. Wiedzą oni bowiem, że ta ich władza się kurczy i uratować ją może tylko bezwzględna ekspansja. Nowe, zdolne do kierowanej przez zachodni imperializm agresji Niemcy — to najlepsze narzędzie do walki z socjalizmem.

Idąc wybrzeżem nadwiślańskim mogłem stwierdzić wielkie zmiany, jakie zaszły tu od lat dziesięciu. Nie istnieją stare topole na stokach Cytadeli, a na ich miejscu wyrosły nowe, młodziutkie drzewka. Nie ma Zamku zielonymi tarasami ogrodów opadającego ku rzece i nie ma sąsiadujących z nim ruder, zalegających uliczki nad Wisłą — Bugaj i Rybaki.

Ale wiele innych szczegółów zmieniło się tu także w ciągu ostatnich dwóch czy trzech lat. Na oczyszczonych od gruzów placach stoją dźwigi i żwirownie, leżą stosy cegieł, cement, żelazo i piasek. Zwieziono je tu zewsząd, częściowo przywiozły je barki, których długi rząd kołysze się na wodzie w świetle wieczoru. Zamek zostanie odbudowany. Na miejsce dawnych powstaną nowe domy. Natomiast ruder na Bugaju i Rybakach socjalizm nie odbuduje.

Minąłem miejsce, w którym przed czterema i pół laty, przeszedłszy pontonowy most, stanąłem po raz pierwszy oko w oko z apokalipsą zniszczenia. Zdawało się, że nie ma siły, która zdoła uprzątnąć jego ślady. A jednak dziś nie zniszczenie, ale praca kształtuje tu rysy krajobrazu. Każda pryzma kamieni i każdy czworobok cegieł mówi słowo „praca" i słowo „pokój".

Nauczeni doświadczeniem Września i sześciu tragicznych lat, którym dał on początek, o ileż jaśniej widzimy, kto zdolny jest zapewnić nam jego trwanie. Czytając o Wszechzwiązkowej Konferencji Zwolenników Pokoju w Moskwie rozumiemy, o, jakże dobrze rozumiemy sens słowa „pokój". Nawet kolor kwiatów, wody i nieba jest od niego zależny.

Kandyd

JAN KOTT

Narodziny powieści albo o Danielu Defoe*)

I. Kupiec angielski

Oto, co znaczy w przyzwoitym czasie okazać się światu. Gdyby dziś ożył kardynał de Retz, nie wzbudziłby w Paryżu i w dziesięciu białogłowach zazdrości. Gdyby Cromwell powstał, który królowi swojemu głowę uciąć kazał i sam się najwyższym uczynił Panem, dziś prostym by tylko był w Londynie kupcem.

Wolter. „Listy a Angielczykach".

W LONDYNIE, w domu, który należał do cechu rzeźników, oglądać można było do niedawna witraż, przedstawiający zażywnego gentlemana w stroju dworskim, z trefionymi lokami spadającymi na ramiona i ogromnym aksamitnym pierogiem w ręku. Tak londyńscy rzeźnicy uczcili kupca z City, który w roku 1688 otrzymał po ojcu członkostwo ich cechu, a w trzydzieści jeden lat później napisał „Robinsona Kruzoe".

Dzieje życia twórcy angielskiej powieści są same dla siebie wspaniałym rozdziałem wielkiego realizmu. Biografia Daniela Defoe nie jest życiorysem przeciętnego angielskiego mieszczanina w latach Restauracji, sławnej rewolucji i zgniłego kompromisu. Jest czymś więcej, zawiera w sobie ogromny kawał historii kapitalizmu i przemian mieszczaństwa. Jest, jak w wielkich powieściach realistycznych, biografią nieprzeciętną, ale typową, nie prawdopodobną, ale prawdziwą. Jest w niej jakieś wyolbrzymienie historycznych konfliktów i wewnętrznych sprzeczności, cała rozgrywa się w głównym nurcie ekonomicznego i kulturalnego awansu angielskiego mieszczaństwa, do którego należał ten genialny kupiec, agent polityczny i pamflecista.

Daniel Defoe urodził się w roku 1660, kiedy Karol II wkraczał do Londynu, witany entuzjastycznie przez obszarników w Parlamencie. Kościół i Korona odzyskały skonfiskowane przez rewolucję dobra, właściciele ziemscy uwolnili się za jednym zamachem od wszelkiej powinności „zabezpieczając sobie — jak pisze Marks — prawa nowoczesnej własności w majątkach, do których mieli tylko tytuły feudalne". Do władzy doszła kontrrewolucja. Karol II zapatrzony był na Ludwika XIV, dostał od niego stałą pensję, kochankę i dobre rady. Rządzili torysi. Rozpoczęły się prześladowania religijne, usunięto purytanów z armii, urzędów kościelnych i gminnych. Purytanie — to były średnie warstwy miejskie i radykalni rzemieślnicy z londyńskiej City.

Należał do nich ojciec Daniela Defoe. Był fabrykantem świec, dorobił się majątku i po wielkiej zarazie„ która nawiedziła Londyn, został rzeźnikiem w City. Cnotliwi mieszczanie, którzy tak niedawno jeszcze zamknęli teatry i domy gry, kazali oćwiczyć aktorów, wyznaczyli kary pieniężne za przekleństwa, przyczepiali listki figowe posągom, patrzyli ze zgrozą, jak Karol II spaceruje konno po Hyde Parku z królową i dwiema kochankami, a wielcy panowie urządzają publiczne zabawy, na których, jak notuje w swoim „Dzienniku" Pepys — „mazali sobie twarz łojem i sadzą, tak że większość z nich podobna była diabłom". Kiedy Daniel miał lat osiem, czeladnicy szewscy wylegli na ulicę, wznosili okrzyki przeciwko rozpuście dworu i zdemolowali domy publiczne w City. Skoro rozeszły się pogłoski, że papiści chcą skonfiskować Pismo Święte, Daniel własnoręcznie przepisuje Biblię. Na wersetach żydowskich proroków dwa pokolenia mieszczan uczyły się bronić swobód politycznych, trzecie pokolenie odczytało z nich poręczenie godziwego zysku w operacjach handlowych.

Defoe oddany został do seminarium, prowadzonego przez dysydentów. Ale nie został pastorem. Miałby wtedy do wyboru pozostać wierny zasadom nonkonformistów i prowadzić życie ściganego przestępcy, albo też powrócić na łono Kościoła Anglikańskiego i wyrzec się rewolucyjnej tradycji. Defoe wolał uniknąć trudnej próby, opuścił seminarium i został kupcem. Terminuje w wielkim domu handlowym, gdzie koronki i sukna wysyłano na kontynent, a sprowadzano likiery i wina.

Potem podróżuje. Zwiedza prawdopodobnie Francję, Holandię, Niemcy, Włochy i Hiszpanię. Spotyka polskich szlachciców, u których oburza go próżność i zuchwalstwo. Interesują go zresztą tylko ceny i obyczaje. Alpy uważa za przeszkodę w komunikacji. Tęskni za starymi oberżami w City, gdzie poważni kupcy rozprawiają o interesach. Po powrocie prowadzi handel już na własną rękę. Sprowadza korzenie, wywozi sukna. Żeni się. Żona przynosi mu w posagu 3700 funtów szterlingów. Chce uchodzić za gentlemana, ubiera się modnie, paraduje na koniu. Lubi wyścigi, przypatruje się walkom kogutów. Odbywa teraz wielkie podróże po całej Anglii, podziwia bardziej manufaktury od kościołów, zajmują go więcej jarmarki od krajobrazów. Jest kupcem swojej epoki. Bierze udział w walkach politycznych, przemawia i agituje po mieszczańskich klubach. Kiedy po śmierci Karola II ląduje w Anglii książę Montmouth, pretendent do tronu, Defoe przyłącza się do masowego buntu chłopów i tkaczy i uczestniczy w bitwie na równinie Sedgemoor, skąd ledwo uchodzi z życiem. Potem, kiedy Jakub II cofa dyskryminację katolików i chcąc sobie zjednać dysydentów, zgadza się rozciągnąć na nich deklarację swobody, Defoe występuje gwałtownie przeciw ugodzie z papistami i machinacjom królewskim. „Wolę— pisze — żeby Kościół Anglikański ściągnął ze mnie ostatnią koszulę na grzywny i konfiskaty, niż żeby mi się mieli papiści dobrać do skóry ogniem i żelazem". Był to rok 1687. W parę miesięcy później sławna rewolucja oddała władzę w ręce pogodzonych ze sobą wielkich obszarników, bankierów i kupców.

Tak skończył się heroiczny okres angielskiej burżuazji, kiedy w imię całej ludzkości żądała dla siebie władzy. Teraz mieszczanin zgodził się, aby go w Parlamencie reprezentowali arystokraci, ale nie zapomniał zapewnić sobie podaży rąk roboczych, wolności handlu, bogacenia się i wyzysku. Krok za krokiem przejmował zarząd państwem na własny rachunek. City finansowało wojny, ale w zamian za to otrzymało potężny instrument prowadzenia polityki finansowej, gromadzenia kruszców i wypuszczania banknotów. Powstał Bank Angielski. Rozwijał się wspaniale handel z kolonialnym imperium.

Kompromis z roku 1689 odpowiadał trzeźwym kupcom. Daniel Defoe był typowym przedstawicielem tego pokolenia ugody. Na uroczystościach koronacyjnych wznosił toasty za zdrowie króla, który uwolnił Anglię od papistów, miedzianej monety i drewnianych chodaków. Drewniane chodaki wyobrażały nędzę pańszczyźnianego chłopa francuskiego. Daniel Defoe i Wilhelm Orański, kupiec i król tak samo nienawidzili szatana, papieża i Ludwika XIV.

Interesy są coraz większe, ale coraz bardziej ryzykowne. Francuzi zatopili okręt wiozący sukna. Zepsuł się transport win portugalskich. W roku 1692 Defoe ogłasza bankructwo na ogromną sumę 17.000 funtów szterlingów. Chroni się w dzielnicę Mennicy, która dawała miesięczny azyl niewypłacalnym dłużnikom. Potem ucieka do Brystolu, gdzie nazywano go Sunday Gentleman, ponieważ wychodził tylko w niedzielę, kiedy zgodnie z purytańskim zwyczajem konstable nie aresztowali.

Zawiera wreszcie ugodę z wierzycielami. Będzie spłacał długi aż do śmierci, tak jak Balzac. I podobnie jak Balzac, jest niewyczerpany w projektach, pomysłach, wielkich finansowych planach. Zajmuje go wszystko: handel i stan dróg, nauka i odkrycia geograficzne, literatura i prawodawstwo. Reformuje i spekuluje. Ale jest to czas wielkich reform i wielkich spekulacji. Burżuazja dostosowuje praktycznie państwo do własnych potrzeb. Defoe domaga się powołania komisji badającej bankructwa i towarzystwa wzajemnej pomocy kupców londyńskich z własną kasą oszczędności i wsparcia, wprowadzenia ubezpieczenia od klęsk żywiołowych i założenia towarzystwa popierania nauk, reformuje podatek dochodowy i broni praw kobiet do nauki. Proponuje wreszcie obciążenie wszelkich dochodów z literatury specjalną taksą na przytułek dla obłąkanych. Wszystko w jednej książce: „Essay upon Projects".

Zostaje przedstawiony na dworze, pomaga królowej Marii w zakładaniu ogrodów, jest członkiem komisji podatku od szkła, doradcą Banku Angielskiego, wreszcie kontrolerem loterii państwowej. Układa straszne wierszydła, zakłada Towarzystwo Reformy Obyczajów i manufakturę wyrabiającą cegły i dachówki. Chwali się, że utrzymuje sto rodzin i ma roczny dochód pięćset funtów. Pisze się teraz po szlachecku: De Foe, ale dalej nienawidzi arystokratów, wysokiego kleru i jakobitów. W obronie nowego porządku i Wilhelma Orańskiego, któremu szlachecka opozycja zarzucała cudzoziemskie pochodzenie, ogłasza wspaniały pamflet: „Czystej krwi Anglicznin", w którym bezlitośnie szydzi z genealogii arystokratycznych rodów. „Koń turecki — pisze — lepiej zna swoje pochodzenie, niż jaśnie pan angielski". Pamflet przedrukowany przez pirackich księgarzy rozchodzi się w osiemdziesięciu tysiącach egzemplarzy. Król go teraz obdarza łaskami i wzywa na rozmowę. Defoe zostaje paszkwilantem na usługach Wilhelma. Ale krótko trwa ta kariera.

„W niecałe sześć miesięcy poznałem różnicę, jaka istnieje między gabinetem królewskim a celą w Newgate". Panowanie królowej Anny rozpoczyna się od nowego prześladowania dysydentów. Defoe ogłasza anonimowy pamflet, w którym przemawia językiem torysowskich biskupów, przejmuje ich argumenty i wyciąga z nich ostatnie konsekwencje. W napuszonym i patetycznym stylu namawia, aby skończyć nareszcie z zarazą jakobinizmu, jaką są dysydenci. Zamiast grzywn i konfiskat radzi stosować stryczek i katorgę. Pamflet spełnił swoje zadanie. Został przez obie strony przyjęty poważnie. Dysydenci zaczęli się burzyć, torysi przyklasnęli nowemu obrońcy religii. Ale kiedy wydało się nazwisko autora i zrozumiano szyderstwo, sekretarz stanu wyznaczył pięćdziesiąt funtów nagrody za schwytanie zuchwałego skryby. Pamflet został publicznie spalony. Defoe osadzony w Newgate, skazany na trzykrotne wystawienie pod pręgierzem i więzienie, „aż do chwili zmiłowania się królowej".

Dla londyńskiego ludu Defoe wyrósł na obrońcę swobody. Kara pręgierza zamieniła się w ogromną manifestację plebsu na cześć pisarza. Defoe został obsypany kwiatami, kiedy go wiedli pachołkowie na miejsce kaźni. W więzieniu napisze jeszcze patetyczną obronę wolności myśli i słowa: „Hymn do pręgierza". Ale na tym się skończy heroizm. Był to wiek kompromisu. Kupcy i politycy gardzili fanatyzmem.

Defoe wchodzi w pertraktacje z wodzem angielskich torysów — Harleyem, zawiera z nim ugodę i rozpoczyna trwającą bez mała lat dwadzieścia karierę agenta rządowego, płatnego dziennikarza i szpicla. „Anglia — pisze w jednym ze swoich tajnych raportów — wydaje niecałe dwanaście tysięcy funtów rocznie na uzyskanie potrzebnych informacji, podczas kiedy Francja wydaje na ten cel ponad jedenaście milionów". Za pieniądze Harleya zakłada pismo „Review", które wychodzi trzy razy na tydzień, zawiera dodatek satyryczno-literacki i wkrótce staje się najbardziej wpływowym organem City. Sam je redaguje i sam w nim pisze. Jednocześnie tworzy Centralne Biuro Informacji. Podróżuje po całej Anglii i pierwszy układa polityczne mapy kraju, nowoczesną kartotekę przeciwników politycznych. Wyjeżdża w tajnych misjach do Szkocji i przygotowuje akt unii z Anglią (1707).

Kiedy rządy przechodzą w ręce wigów, Defoe idzie w służbę lorda Godolphina. „Zrozumiałem, że moim obowiązkiem jest służyć każdemu ministerstwu, które nie narusza konstytucji, praw i swobód mojego kraju". Po powrocie Harleya Defoe jest znowu u jego boku i po raz wtóry na usługach umiarkowanych torysów. Popiera nawet teraz walkę z dysydentami. Nonkonformiści traktują go jako zdrajcę. „Review" prowadzi skomplikowaną grę polityczną i sieje zamieszanie w obozie przeciwników.

Daniel Defoe

Defoe jest niezmordowany i niewyczerpany. Jest w nim jakaś piekielna żywotność i ma coraz wspanialsze pomysły. Pierwszy w historii prasy zakłada regionalne wydanie swego pisma w Edynburgu. Potem próbuje stworzyć koncern prasy szkockiej. Opracowuje memoriał opanowania Chili i Argentyny w celu otworzenia drogi lądowej przez Andy i uniknięcia przeprawy przez cieśninę Magellana. Układa statuty międzynarodowego sądu apelacyjnego „dla wszystkich pokrzywdzonych, bądź to władców, bądź narodów w celu zapobieżenia wojnom w Europie". Projektuje zatrudnianie bezrobotnych tkaczy w manufakturach opartych o spółki akcyjne, i wykupienie przez rząd teatrów za 100.000 funtów, „aby zamknąć siedliska publicznego zgorszenia". Pisze, handluje i spekuluje na akcjach, na papierach wartościowych, na wiadomościach nawet.

Rok 1718 przynosi zwycięstwo wigom. Defoe korzysta, że wydała się jego rola. Wigowie nienawidzą go, tym lepiej! Przedtem był wigiem na służbie torysów, teraz będzie udawał torysa za pieniądze wigów. Jeszcze pięć lat uda mu się prowadzić tę grę.

Trudno bronić moralności jego postępowania, ale nie można go mierzyć naszymi kategoriami. Defoe nie miał złudzeń. Nowy mieszczański ład reprezentował równie dobrze pierwszy minister wigów, sir Robert Walpole, jak wielki torys John Churchill, znany lepiej pod imieniem księcia Malbrough. „Przedsiębiorczy właściciel ziemski z Norfolk — pisze Morton o Walpole'u — geniusz finansowy rozumiejący potrzeby handlu tak samo jak każdy kupiec z City, kolega i przywódca wielkich parów z partii wigów, przebiegły, drapieżny i całkowicie pozbawiony ideałów, symbolizował interesy i charakter tego wyjątkowego związku, który rządził Anglią".

A oto drugi portret: książę Malbrough, pióra Maurois: „Syn właściciela ziemskiego Johna Churchilla, dzięki protekcji siostry, Arabelli, która była kochanką Jakuba II, zostaje parem księcia Yorku. Sam zostaje kochankiem lady Castlemaine, faworyty Karola II, i przyjmuje w podarunku od niej 5000 funtów, ustępuje ją lordowi Halifaxowi za roczną rentę w wysokości 500 funtów. Był to początek ogromnej fortuny. Okazało się, że ten dobry amant, ten przezorny kapitalista był również znakomitym żołnierzem. Gdy wybuchła rewolucja 1688 roku, zagrał, jak większość ludzi owej trudnej epoki, podwójną grę, popierając Wilhelma i asekurując się jednocześnie w Saint Germain. Wstąpienie na tron królowej Anny, która z miłości do żony protegowała męża, uczyniło z niego najpotężniejszego człowieka w Królestwie... kiedy zgniótł Bawarów i odzyskał Flandrię... zażądał od królowej, aby mianowała go dożywotnio wodzem naczelnym... Jako polityk, torys z wychowania i przyzwyczajeń, współpracuje z wigami, którzy stworzyli partię wojenną... W 1713 r. został wygwizdany na ulicach Londynu i przepędzony okrzykami: łapaj złodzieja!" Zarzucano mu — i słusznie — że brał prowizję od wojskowych dostawców.

Tacy byli wodzowie obu partii. Wigowie i torysi dawno już przestali prowadzić do walki dwie odrębne klasy społeczne. Daniel Defoe równie jasno patrzał na własną epokę, jak Jonathan Swift. I słusznie nie miał złudzeń. To tylko dwie frakcje ziemiańskiej i finansowej oligarchii wydzierały sobie wzajemnie łupy. Wolter utrafił w sedno, kiedy pisał w „Listach Filozoficznych": „Gdyby Cromwell powstał, dziś prostym by tylko był w Londynie kupcem".

Nie chcę bronić Daniela Defoe. Ale ten pismak, który sprzedał swoje pióro, ten niestrudzony agent wszystkich rządów angielskich w ciągu ćwierćwiecza, był prawdziwym ideologiem swojej klasy, był trybunem nie wigów i nie torysów, lecz młodego kapitalizmu. Uważał handel i rozwój gospodarczy za fundamenty pomyślności Anglii, pojmował przemoc prywatnego egoizmu nad społeczeństwem burżuazyjnym i przyjmował tę przemoc. Biblia była dla niego księgą moralności kupieckiej, prawa jej były święte, zgodne z naturą, rozumem i dziesięciorgiem przykazań. Stąd jego porywający optymizm, stąd entuzjazm, z jakim opisuje dokładnie i szczegółowo, punkt po punkcie, budowę okrętów, dróg i manufaktur. Stąd patetyczny portret angielskiego kupca, sformułowany w nowym realistycznym języku Oświecenia:

„Współczesny kupiec jest uniwersalnym uczonym. Stoi on o tyle wyżej od zwykłego znawcy łaciny i greki, o ile ten ostatni stoi wyżej od ciemnego człowieka, nie umiejącego czytać i pisać. Zna on języki bez pomocy książek, geografię bez pomocy map, jego handlowe podróże pokreśliły cały świat, jego zagraniczne transakcje, weksle i umowy przemawiają we wszystkich językach; siedzi on w swoim kantorze i rozmawia z wszystkimi narodami". („The Complete English Tradesman").

Kupiec był rzeczywistym bohaterem Anglii wigów, był tym naturalnym człowiekiem, wolnym od pęt feudalnych, jakiego obraz stworzyli filozofowie Oświecenia. I dlatego literackim bohaterem epoki stanie się kupiec, który na bezludnej wyspie założy kapitalizm. Tak wiodła droga od rewolucji społecznej do rewolucji literackiej, od „Wędrówek Pielgrzyma" Bunyana i „Raju Utraconego" Miltona — do „Robinsona" i „Moll Flanders". Drogę tę krok za krokiem wybijał Daniel Defoe.

Bibliografowie wyliczają ponad dwieście pięćdziesiąt jego rozpraw, pamfletów, politycznych broszur, aktualnych kronik, traktatów dydaktyczno-moralnych. Pisał rzeczywiście o wszystkim: o dobrych i złych sługach i o szczepieniu ospy; o zgubnym wpływie teatru i o przemyśle wełnianym; o niebezpieczeństwie zawierania małżeństw z osobami niereligijnymi i o podróżach na księżyc; o historii prasy i pisma, które wywodził z tablic, jakie otrzymał Mojżesz na górze Synai, i o historii handlu; o drogach, oberżach i panowaniu Piotra I w Rosji; o duchach, proroczych snach i o diable.

Był dziennikarzem genialnym; kiedy brakowało mu sensacyjnego materiału do kroniki, wymyślał najbardziej nieprawdopodobne historie i opisywał je z tą samą zadziwiającą dokładnością szczegółów, jak sprawozdanie z posiedzenia giełdy. Umieścił kiedyś dramatyczny opis zniknięcia wyspy św. Wincentego, a kiedy przyszły wiadomości, że nigdy wyspa nie zniknęła i nadal istnieje, odpisał z całym spokojem: „Doszły nas fantastyczne pogłoski, że odnaleziono wyspę św. Wincentego i że zamieniła się ona w wulkan albo ognistą górę, ale my nie dajemy wiary tym grupstwom".

Jego pomysły reklamy długo nie zostały przescignięte. Aby wzbudzić zaufanie do mikstur, które słynny w owym czasie szarlatan Cambell sprzedawał epileptykom, Defoe ułożył wzruszające opowiadanie, jak Anioł Stróż ukazał się cierpiącemu znachorowi i wręczył mu pergamin z napisem: „Czytaj! Wierz! Wykonaj!" Po tych słowach następowała formuła proszków, które szarlatan po taniej cenie odstępował cierpiącym.

Literatura tak jak i teatr obarczone były dla purytanów grzechem kłamstwa. Chrześcijaninowi nie przystoi kłamać ani patrzeć na kłamstwo, ani czytać kłamstwa. Stąd w tytułach prawie wszystkich publikacji Defoe'go przymiotniki: prawdziwy, rzeczywisty i wiarogodny. Kupiec londyński, dla którego cały świat otworzył się razem z rynkiem handlowym, chciał czytać o rzeczywistych zdarzeniach i prawdziwych bohaterach. W broszurach, traktatach i rozprawach Defoe'go pełno jest listów, raz autentycznych, kiedy indziej fałszywych lub przerobionych, dzienników, relacji z podróży, pamiętników i sprawozdań. Defoe rzadko podpisywał swoje utwory, ogłaszał je przeważnie pod pseudonimami, ofiarując autorstwo zmyślonym kwakrom z Ameryki, oficerom angielskim na rosyjskiej służbie, tureckim szpiegom, marynarzom, którzy wrócili z Afryki, czy słynnym przestępcom i ladacznicom. Tak nowy bohater realistycznej powieści rodził się powoli z reportażu, publicystyki, kroniki obyczajowej i kryminalnej. Ale kryć się jeszcze musiał za rzeczywistymi postaciami. Toteż wiele musiał zużyć trudu Defoe, aby mu słynny bandyta John Sheppard w oczach całego tłumu, wprost z rusztowania, na chwilę przed egzekucją, wręczył swój życiorys. Oczywiście rękopis ten otrzymał z rąk Daniela Defoe tegoż ranka. Był to nie tylko wielki pomysł reklamy. Fikcja literacka wkraczała zwycięsko w publicystykę i kryła się wstydliwie za pamiętnikiem.

W tej masie rozpraw, traktatów i historii gromadziło się powoli społeczne doświadczenie nowej klasy. Zawierały one mieszczańską wiedzę o życiu, mieszczańską politykę i mieszczańską moralność. Tak jak powiastka filozoficzna wchłonęła w siebie całe intelektualne doświadczenie wieku: ekonomię, fizykę i filozofię, i w klasycznym jeszcze języku dała czysty i abstrakcyjny obraz epoki i człowieka, tak powieść realistyczna wyrastała z praktyki społecznej nowej klasy, z opowiadań o działaniu rzeczywistych ludzi w konkretnych warunkach, z opisów prawdziwych zdarzeń, rzemiosł i towarów. Powiastka filozoficzna była produktem rozkładu dojrzałych form poetyki klasycznej w okresie, kiedy literatura stała się orężem politycznym. Narodziny nowoczesnej powieści były rewolucją, która dokonała się poza literaturą. W powiastce filozoficznej mieszczanin szydził z głupoty swoich przeciwników i mądrze bronił praw własnej klasy. W powieści mieszczanin przemówił po raz pierwszy własnym językiem i dawał obraz swojego codziennego życia.

„Gdyby mnie zapytano — pisał Defoe — co uważam za współczesny styl lub język, odpowiedziałbym, że jest to język, którym rozmawiając z setką ludzi rozmaitych zajęć i uzdolnień (wyłączając wariatów i głupców), zostanę zrozumiany przez nich wszystkich, tak jak chciałem zostać zrozumiany".

Pierwsza rewolucja burżuazyjna rozpoczynała się od dysput, czy opłatek jest rzeczywistym ciałem Jezusa Chrystusa, czy też jego symbolem. Długo rewolucyjne ruchy społeczne formułowały swoje żądania w języku teologii i Biblii. Ale klasa, która osiągnęła zwycięstwo, uczy się przemawiać własnym językiem. W grubych tomach traktatów dydaktycznych Daniela Defoe, jak na przykład słynny „Przyjaciel rodzin", który aż do połowy XIX wieku ciarowywano nowożeńcom w purytańskich rodzinach Anglii i Ameryki, cytaty z Pisma Świętego towarzyszą przepisom gospodarskim, receptom lekarskim i zasadom prowadzenia ksiąg handlowych. Wiara w Opatrzność i predestynację nie zwalniała od troski o własne bogactwo. Traktaty te przynoszą praktyczne i drobiazgowe wzory postępowania i niejedna ich stronica nie różni się wiele od „Pameli" czy „Klaryssy" Richardsona.

Lenin zarysowując teorię przemian literatury pisał, że źródłem wartości są masowe ruchy społeczne. Wiedza o świecie, doświadczenia i praktyka społeczna nowej klasy przynoszą śmierć i narodziny gatunków literackich. Powstaniu nowoczesnej powieści nie towarzyszyła świadomość estetyczna, towarzyszyła jej za to świadomość klasowa. Nowe sposoby opisu i opowiadania wykształciły się w roznorodnych formach publicystycznych, które dyktowała praktyka społeczna. Mieszczańska wiedza o życiu i nowe konflikty burżuazyjnego społeczeństwa nie mieściły się w żadnym z klasycznych gatunków literackich, nowi bohaterowie nie mieli do nich wstępu, przemawiali trywialnym językiem i byli źle urodzeni.

Pamflety partyjne, katechizmy praktycznej moralności, relacje podróżników, żywoty awanturników i zbrodniarzy przygotowywały materiał dla powieści, ale nie były powieścią. Musiał dokonać się skok od dokumentu do fikcji literackiej, od grubego naturalizmu do realizmu krytycznego. Nowoczesna powieść ma dokładną datę urodzenia: dzień, miesiąc i rok.

W roku 1719 pięćdziesięcioośmioletni Daniel Defoe, którego kariera polityczna dawno się skończyła, potrzebował pieniędzy na posag dla trzech córek i zaproponował londyńskiemu księgarzowi ogłoszenie pamiętnika angielskiego marynarza, który żył na bezludnej wyspie. W niespełna dwa miesiące rękopis był gotów i 25 kwietnia 1719 r. ukazał się w druku. Książka miała tytuł „Życie i zadziwiające przypadki Robinsona Kruzoe, marynarza z Yorku".

W parę dni rozprzedano cały nakład. W ciągu sześciu miesięcy ukazało się sześć wydań! Jeszcze w tym samym roku Defoe napisał część drugą: „Dalsze przypadki Robinsona Kruzoe", a niedługo potem — część trzecią, która z historią bohatera nie miała już nic wspólnego. Księgarz dorobił się na tej książce majątku, w ciągu czterdziestu lat wyszło jej czterdzieści wydań, kupił sobie nowy sklep i zostawił w spadku 50.000 funtów. Defoe otrzymał pięćdziesiąt funtów honorarium i niewielki procent od sprzedanych egzemplarzy.

Do końca życia spekulował, wierny swojej zasadzie, że „pieniądz musi krążyć". Płacił stare i nowe długi i dla zarobku pisał powieści. Po „Robinsonie" w ciągu sześciu lat ogłosił ten niespożyty starzec jeszcze siedem książek, z których każda była odkryciem nowego rodzaju: powieści społecznej, historycznej, obyczajowej, awanturniczej. Trzy z tych książek są arcydziełami: „Moll Flanders", „Dziennik roku zarazy" i „Roksana albo majętna kochanka".

Umarł Defoe w Londynie w roku 1731, ukrywając się po raz nie wiadomo który przed ścigającymi go wierzycielami.

Jedna z największych rewolucji literackich — narodziny nowoczesnej powieści — nie została nawet zauważona przez współczesnych. Prawdziwi pisarze wyrażali się lekceważąco o tym kupczyku, który zajmował się pisaniną, albo nawet posuwali swoją pogardę aż do przemilczenia jego nazwiska. „Jeden z tych pismaków (osobnik, który stał pod pręgierzem, zapomniałem jak się nazywa) — pisał Swift o Defoe'm — był łajdakiem tak moralnym, poważnym i dogmatycznym, że nie sposób go było wytrzymać".

Literaci bronili trudnej sztuki pisania, chwalili nawzajem swoje rzemiosło, porównywali się do starożytnych. Jakżeż mogli zauważyć, że na straganach kupcy i rzemieślnicy wyrywali sobie z rąk historię jakiegoś marynarza, który hodował kozy i lepił garnki na bezludnej wyspie?

Jan Kott

*) Przedmowa do pełnego wydania „Robinsona Kruzoe", które ukaże się w najbliższym czasie nakładem Wydawnictwa Polskiego R. Wegner.

STANISŁAW WYGODZKI

Ilustrował K. SOSNOWSKI

Czy napiszę powieść?

I.

Od dłuższego czasu zabiegałem o uzyskanie zezwolenia, które by mi umożliwiło wstęp do jednej z fabryk chemicznych, w której kiedyś pracowałem. Oto leży przede mną list zawierający odpowiedź na moje pismo, odpowiedź, która mnie zaskoczyła swoim sformułowaniem: ...„zezwala się... aby zebrać materiał do napisania powieści..."

Czyżbym tak jasno formułował swoją prośbę, gdy zabiegałem o to zezwolenie? Skądże mogłem wiedzieć, co napiszę po odwiedzeniu dawnego miejsca pracy, które opuściłem 10 lat temu?

Powieść! To się łatwo mówi. Gdy sięgam obecnie pamięcią wstecz i powoli poczynają się pojawiać ludzie i sprawy z owych lat, spostrzegam, że nie potrafię już odtworzyć ani ludzi ani sytuacji, że nie widzę już związków, jakie istniały między ludźmi i sprawami a mną. Obecnie, nie będąc tam wcale, ale pamiętając o zmianach zaszłych w naszym kraju po wojnie, mógłbym — nawet na odległość — określić w przybliżeniu to, co się tam dzieje: nie wątpię, że potrafiłbym w ogólnym zarysie określić, jak fabryka pracuje. Ale ludzie?

Co się stało z ludźmi, z którymi spędziłem kilka lat? Czy żyją? A jeśli żyją, jak gospodarują, już nie w ogólnikowym jakimś obrazie naszej odbudowy, ale w indywidualnym działaniu i postępowaniu. Bo przecież to jest najważniejsze, skoro mam napisać „powieść". Gdy czytam recenzje lub krytyki o naszych nowych powieściach i zdający relację podnoszą jako wielkie osiągnięcie to „że to już nie powieść o ludziach, tylko o dziejach fabryki" — myślę o takim ujęciu zagadnienia z przekąsem: co to znaczy „powieść o fabryce"? Cóż to za „osiągnięcie"? Przecież człowiek jest ważny, człowiek w procesie produkcji, człowiek w fabryce, która się staje ciekawa dlatego, że tam jest nowy człowiek. Nowy? Skądże się wziął? Kiedy się narodził? Skąd się wywodzi? Sugestia nieznanego mi człowieka, by napisać „powieść", sprawiła, że w imaginacji rozpocząłem penetrację, nieszkodliwą dla moich czytelników, ale czy dopuszczalną wobec konieczności dokonania konfrontacji na miejscu między obrazem bardzo zamazanej przeszłości a dniem dzisiejszym? Im dłużej myślę nad tą sprawą, tym większe widzę trudności piętrzące się przede mną. Cała sprawa byłaby znacznie bardziej prosta, gdyby moje osobiste dzieje nie były związane z tą fabryką i gdybym mógł siebie oddzielić od człowieka, z którym tam pracowałem w owym czasie.

Widzę jeszcze jedną trudność, której nie zamierzam ukrywać przed czytelnikiem: jeśli wywołuję obecnie tego człowieka z przeszłości, by opowiedziec jego dzieje — czy potrafię, czy zdołam moją mową, aż nazbyt rzeczową, ukazać go takim, jakim był?

Wawrzyńca poznałem wiele lat temu, w więzieniu, a więc w warunkach ciężkich ale nie osobliwych w naszym okręgu, jednakże stosunki między nami były napięte. Zwłaszcza początkowo. Prowadziłem w celi jakieś wykłady, ale któregoś dnia, gdy mówiłem o konstytucji obowiązującej wówczas w naszym kraju, o wolności sumienia i przekonan zagwarantowanej w konstytucji, Wawrzyniec zerwał się z desek, na których układaliśmy w nocy sienniki, i minąwszy belkę służącą za podporę pryczy powiedział głośno:

— Co wy tam gadacie! Gdzie istnieje ta wolność przekonań? Na papierze chyba, bo gdyby obowiązywała, to byśmy przecież nie siedzieli za kratą!

Wskazywał ręką kratę osłoniętą koszem i powłócząc nogami, które się schodziły w kształcie X u zbiegu kolan, przerwał wykład.

Czułem się dotknięty. Oczywiście nie z powodu konstytucji, skoro między teoretycznym wywodem a praktycznym wykonaniem wyrastał mur i zakratowane okno, które dawało nam brutalnie lekcję życia. Dotknęło mnie coś innego: w jego głosie było lekceważenie, na które pewnie zasłużyłem, wydawało mi się jednak, że nie tak należało ocenić moją bzdurną gadaninę; czułem, że obciąża mnie osobiście za istnienie owych sprzeczności między teorią a praktyką, skoro nie potrafię ocenić właściwego sensu takiej konstytucji. Gdybym wam powiedział, że miałem wówczas 17 lat, czy sądzicie, że młody wiek może mnie usprawiedliwić w niedojrzałej krytyce nauki wyniesionej właśnie ze szkoły?

Wawrzyniec był ode mnie starszy co najmniej o 10 lat. Był niskiego wzrostu i prawdopodobnie wszyscy spoglądający na niego dziwili się, czemu ten zupełnie łysy człowiek chroni pieczołowicie długie wąsy zakończone niezwykle śpiczasto. Spojrzenie miał szelmowskie, ostre, i gdy mówił, oczy jego zatrzymywały się uporczywie na rozmówcy. Mówił szybko, szafując obficie dowcipem, w którym było sporo docinków i zgryźliwości.

Spotkałem go kilka lat później, po powrocie z zagranicy i po tak zwanym zamachu majowym. Wawrzyniec nie zmienił się, gładził te swoje wąsiska, nadal sypał dowcipami, a dowiedziawszy się, że dostałem pracę w fabryce, w której i on był zatrudniony, zmarkotniał.

— Niedobrze brachu, będziesz tam miał ciężkie życie.

Odciąłem mu się, pomny więziennej lekcji:

—No cóż, a może sobie wybierzemy dobrą fabrykę z dobrym kapitalistą?

Spojrzał z ukosa i zwróciwszy się ku mnie powiedział z otwartością:

— Nie możesz mi zapomnieć, widzę. Ho, ho, zdaje ci się, żeś mocniejszy ode mnie, ano dobrze, zobaczymy.

Fabryka szła wtedy na trzy zmiany i spotykaliśmy się rzadko. Tylko w dni wypłat, stojąc przed biurem zawiadowcy zamienialiśmy kilka słów. Wyglądał nieszczególnie, pracę miał ciężką. Musiał ciągle dowozić z odległego magazynu płyty cynku do pieca hutniczego, po czym składał je w pobliżu pieca i wracał po nowy transport. Paliliśmy jeszcze wówczas w piecach muflowych i dwaj palacze ładujący płyty do 16 otworów mufli szybko wyczerpywali dowożony zapas. Wawrzyniec wyraźnie nie nadążał. Przeszkadzały mu zarówno wadliwie zbudowane nogi zbiegające się bardzo blisko kolan, jak również znaczna pochyłość, po której musiał popychać żelazny wózek — platformę, naładowany cynkiem. Bardzo często, zwłaszcza wówczas gdy dowoził nieforemne bryły hartcynku, kęsy spadały na pochyłości, kalecząc ręce oparte o toczący się wózek. Jeszcze częściej wózek wyskakiwał z szyn, wtedy to z biura ruchu wypadał nasz zawiadowca i gromiąc od nieuciegów groził, że wyrzuci „dziada na zbity pysk".

— A wyrzuć, cholero jedna, mruczał do siebie Wawrzyniec, podkładając kawał drzewa pod toczący się wstecz wózek aby — zatrzymawszy go — podnieść z trudem chropawy, miejscami ostry i kanciasty hartcynk.

— A wyrzuć, wyrzuć, czekaj, aż ciebie wyrzucą.

Zawiadowca raczej się domyślał, aniżeli chwytał słowa Wawrzyńca i krzyczał:

— Czego mruczysz, nie mrucz, nie dajesz mleka.

Wawrzyńcowi już było tego za dużo:

— A przydałoby się mleko przy tej robocie, a wy dajecie miętową wodę. Nie było tajemnicą, że Wawrzyniec jest komunistą, że dwukrotnie odsiadywał już wyroki, do tego wszystkiego doczepiła się jego niepełna zdolność do pracy i jeździli po nim przy byle jakiej okazji. Nikomu nic za to nie groziło, najchętniej pozbyli by go się zupełnie, bo czy wiadomo co taki rool? Znacznie później dowiedziałem się, że był im potrzebny: obserwowali ludzi gromadzących się wokół niego. Nie wiem, czy nas notowali, ale że pamiętali, to pewne. Późniejsze wypadki upewniły mnie w tym przekonaniu.

Nasza fabryka posiadała polski zarząd, ale należała do niemieckich akcjonariuszy, którzy mieli swoją siedzibę w O. w pobliżu Wrocławia, skąd przyjeżdżali do nas raz w ciągu roku na doroczne walne zgromadzenie akcjonariuszy i w tym czasie następował podział dywidend. Dla pozoru oddali trochę akcji również Polakom: posiadał je notariusz, który rok rocznie asystował w tych walnych zgromadzeniach, oraz dyrektor miejscowej elektrowni.

Przewrót hitlerowski odbił się echem również w naszej fabryce. Nastąpiły zmiany nie tylko na kierowniczych stanowiskach, lecz nawet wśród niższego personelu technicznego. Pojawiali się jacys nowi ludzie, nie wiadomo skąd skierowani do nas przez inspektora pracy z żądaniem natychmiastowego przyjęcia, w sposób zgoła nieoczekiwany wymówiono pracę wieloletniemu inżynierowi Józefowi C., na jego miejsce zaś — co było jeszcze mniej oczekiwane — przyjęto Żyda, niejakiego inżyniera F., który z miejsca przystąpił do zaprowadzania nowych porządków. Wtedy nie rozumiałem jeszcze istoty tych zmian, ale z czasem stały się one jasne. Pogarszające się warunki pracy i płynące stąd niezadowolenie trzeba było skierować w odpowiednim kierunku, cóż więc łatwiejszego, jak obarczyć winą za to wszystko Żyda, zwłaszcza, że to on, a nie dyrekcja, przebywająca na terenie Niemiec, stykał się codziennie z robotnikami! Wobec załogi występował jako osoba rządząca i kierująca zakładem, cechowała go zachłanność, gburowatość, znać było, że przywykł do rozkazywania.

Inżynier F. miał swoje ambicje. Niewątpliwie zdolny, znający liczne zakłady chemiczne w Niemczech i Austrii, podjął się prowadzenia przebudowy fabryki i dokonania inowacji technicznych, które by powiększyły i usprawniły produkcję.

Wiedzieliśmy, że usprawnienie produkcji oznacza redukcję. Rozglądaliśmy się po ludziach, nie wiedząc, kiedy kto wyleci na bruk, bezbronni i bezsilni wobec przemocy. Centrala Związku Chemicznego była w rękach fraków a oddział nasz, gromadzący liczną opozycję związkową, jak wówczas nazywano komunistów, był od wielu miesięcy rozwiązany. Mimo to zachowaliśmy jakieś pozory związku odbywając w tajemnicy zebrania, które po części — zwłaszcza do roku 1938 — zamieniały się w zebrania polityczne z udziałem sympatyków. Inni robotnicy chadzali luzem, ale powoli poczęliśmy spostrzegać, że na teren fabryki przedostają się ludzie z tak zwanych żółtych związków, usiłując gromadzić wokół siebie niezorganizowanych. Próbowaliśmy przeciwdziałać, ale szło nam to opornie, bo jeśli ktokolwiek miał stanąć za murem jako bezrobotny, to w pierwszym rzędzie robotnik z opozycji. W czasie wypłat stawaliśmy niedaleko biura czekając na odchodzących od okienka, aby zainkasować składki na MOPR, i mając wszystkich robotników na placu wszczynaliśmy rozmowy na temat związku, który wszak musi coś zacząć robić, bo sytuacja na fabryce pogarsza się z każdym dniem. Którejś soboty, jakby w odpowiedzi na nasze propozycje, szofer ciężarowego wozu, niejaki O., począł ludziom jawnie rozdawać „Błyskawicę", pismo wydawane przez „Polskich Narodowych Socjalistów". Również taki twór istniał w naszym okręgu, istniał i działał legalnie, pod okiem władz, ciesząc się ich opieką i zaufaniem. Wówczas domyślałem się raczej, kto finansuje i popiera tę jawnie faszystowską grupę: dzisiaj wiemy już, zwłaszcza po głośnym procesie pewnego szpiega hitlerowskiego i później amerykańskiego, za czyje pieniądze i dla czyich korzyści powoływano do życia te grupy. Gdy szofer począł rozdawać swoją szmatę, Wawrzyniec krzyknął głośno, że — jak widać — nie wszystkim wolno prowadzić agitację na fabryce. Szofer warknął:

— A na MOPR wolno zbierać?

Od biura szedł inżynier F. Rozgarniał po drodze ludzi i zmierzając ku nam zapytał:

— Kto tu zbiera na komunistów?

Przyjrzał się naszej grupie i ukłoniwszy się przesadnie grzecznie powiedział:

— Panowie, przepraszam, towarzysze komuniści, cieszę się, że was widzę wszystkich razem.

Wskazującym palcem odliczał nas i dokonawszy rachunku, rzekł:

— Siedem sztuk. Warto zapamiętać.

Na fabryce nie było tajemnicą, kto jest komunistą, wszyscy również wiedzieli, kto z nami sympatyzuje, ale do tej pory nikt nie ośmielił się dokonać publicznego przeglądu, tak jak to zrobił inżynier F. Wiedziano, kto miał za sobą wyrok sądu, i to nam raczej ułatwiało pracę wśród ludzi, którzy obdarzali komunistów poważaniem i zaufaniem. Jednakże publiczne wytknięcie nas palcem wprowadziło nowy element, nazwałbym go elementem jawności w traktowaniu ludzi ściganych przez ówczesne prawo: sprzyjający nam widzieli w nas przyjaciół, ale do tego niepotrzebne było wytykanie nas palcem, natomiast wrogość naszych przeciwników jeszcze baruziej wzrosła i niejako umocniła się: otrzymała sankcję i aprobatę kierownika fabryki. Chwiejni poczęli nas unikać, przeciwnicy stali się natarczywi. Nie nas śledzili: węszyli za tymi, o których jeszcze nie wiedzieli, czy nam sprzyjają. Nam wypowiedzieli otwartą walkę. Nietrudno było o nią.

Zaczęło się od utarczek słownych, kończyło zaś na utrudnieniach w pracy. Celował w tym jeden z nowo przyjętych na polecenie inspektora pracy, niejaki Szuster, który odrazu zaawansował na pomocnika hutnika. Nie ukrywał, że nigdy nie pracował przy piecu, że się nie zna na tej robocie, a mimo to... Był to rosły chłop, o czarnych bujnych włosach i za wstawiennictwem dyrekcji oraz inżyniera F. otrzymał odrazu mieszkanie przyfabryczne, z którego wyrzucono starego komunistę Wincentego Sz. Zwołaliśmy zebranie i okazało się, że większość załogi była za wysłaniem delegacji do inżyniera F. z żądaniem pozostawienia wyrzuconego w dawnym mieszkaniu.

Inżynier F. oświadczył:

— Nie będę z wami gadał — i nie spuszczając oczu z Wawrzyńca, który przewodził delegacji, powiedział:

— Uznaję tylko delegatów związkowych — uśmiechnął się jadowicie. Wiedział, że nasz związek został rozwiązany przez fraków.

— Pójdziemy do inspektora pracy, powiedział Wawrzyniec.

Inżynier F. odparł:

— A idźcie sobie, to wam i tak nie pomoże, to nie jego sprawa.

Sięgnął po arkusz i spoglądając na delegatów począł ostentacyjnie i w sposób widoczny dla wszystkich spisywać ich nazwiska. Zatrzymywał na każdym wzrok przez dłuższą chwilę, czekając na efekt tego środka terroru.

Pomocnik hutnika Szuster zorientowawszy się, kto należy do lewicy lub z nami sympatyzuje, począł tych ludzi szykanować. Czuł się mocny, niewiele sobie robiąc z otoczenia, ale wówczas jeszcze nie wiedziałem, kto mu tę moc dawał. Pozwalał sobie na postępki, za które każdy z nas wyleciałby bez wypowiedzenia. Znikał od pieca wówczas, gdy na niego przypadała kolej wyrywania pękniętego mufla, albo wówczas, gdy trzeba było otwór doprowadzający gaz koksowy obłożyć świeżą masą szamotową. Niezawsze tak postępował: czynił to wówczas, gdy przypadała mu dniówka z palaczem komunistą. Ten musiał wtedy wykonywać podwójną robotę, swoją i Szustra.

Wincenty Sz. wyprowadzony kiedyś z równowagi powiedział mu:

— Nie będę za was robił. Powiem inżynierowi.

Szuster spojrzał na niego bezczelnie i powiedział:

— To wy tacy jesteście? Niby to komunista, niby to o solidarności mówicie, a tu chcecie chodzić na mnie ze skargą. I do kogo? Do Żyda?

Wincentemu zabrakło tchu:

— A mnie co to obchodzi, jaki on jest, Żyd czy Polak? Wiem tylko, że nas gnębi, a solidarny jestem z każdym robotnikiem, ale nie z takim, który chce mnie jako robotnika wykorzystywać. I dodał surowo:

— Za nikogo robić nie będę.

Nie przekonało to Szustra, bo i przekonać nie mogło. Wiedzieliśmy, że oddanie mieszkania, z którego wyrzucono naszego towarzysza, nastąpiło za poparciem dyrekcji, że inżynier F. przyjął go do pracy z polecenia władz, i że Szuster czując swoją siłę począł się odgrywać na każdym z nas.

Najgorzej było jednak z Wawrzyńcem. Ilekroć przypadała mu dniówka razem z Szustrem, ten nie pozwalał mu odpoczywać ani przez chwilę.

— Będziesz woził, czy nie będziesz woził?

Wawrzyniec wskazywał mu milcząco wysokie bloki nagromadzonego cynku, który mógł wystarczyć do końca dniówki Szustra, ale ten się ciskał i krzyczał:

— Nic cię to nie obchodzi, ile spalę, masz wozić i koniec, za to ci płacą.

Byłem kiedyś przy takim starciu. Gdy Wawrzyniec wracał od pieca, popychając ku bramie hali opróżniony wózek, powiedziałem:

— Zaczekaj Wawrzek, pomogę ci obrócić wózek na szajbie.

Szuster stał opodal i usłyszawszy moje słowa począł się oddalać od pieca, zbliżając się ku nam. Im bardziej się oddalał od pieca, tym szybciej kroczył, jakby mi chciał przeszkodzić w wykonaniu zamiaru.

— Dlaczego mu pomagacie?

Stałem u wyjścia hali, od otwartej bramy wiało i spoglądając pod płomień bijący z otwartych mufli nie dostrzegałem jego twarzy.

— Bo chcę.

— Aj, aj, bo chcę? bo chcę?

Przedrzeźniał mnie, mimo, że mam wymówę nieposzlakowaną.

— Towarzysze, co? Solidarność, co? Braterstwo?

Każde słowo zabarwiał nieukrywaną ironią.

— Nic wam do tego.

— A czegoście tacy hardzi? I tak zrobimy z wami porządek!

Ponosiła mnie wściekłość.

— Kto z kim?

— Jeszcze nie pora mówić, ale zrobimy, zrobimy.

Odchodził od nas; obracaliśmy powoli wózek po chwiejącej się szajbie piszczącej zgrzytliwie; powstrzymując z całych sił pędzący po pochyłości wózek, zapytałem Wawrzyńca:

— Jak ci się ten podoba?

— Boję się go.

— Boisz się? A co nam może zrobić?

Pchaliśmy przed sobą wózek po torze, który skręcał ku magazynowi z cynkiem. Zapaliliśmy i poczęliśmy powoli składać płytę za płytą, aby inżynier F. słyszał, że ładujemy.

— To faszysta. Ja ci mówię, że jego tu nasłali.

— Pleciesz. Kto go nasłał?

Wracaliśmy z naładowanym wózkiem. Powiedziałem:

— Według ciebie to wszyscy nasi przeciwnicy są nasłani. Może inżynier F. również?

Nie spojrzał nawet na mnie. Mówiłem dalej:

— Przecież mamy dość własnych faszystów, myślisz, że trzeba ich dopiero nasyłać?

Znów obróciliśmy wózek na szajbie i wjechaliśmy na halę. Zatrzymaliśmy się w pobliżu pieca i zaczęliśmy składać płyty. Szuster stał do nas odwrócony tyłem, ale wiedział, że jesteśmy we dwójkę. Pragnąłem, aby wiedział, że jesteśmy razem, zapytałem więc głośno:

— Ile wam trzeba remeltetu?

Nie odwracając się warknął:

— Przecież Wawrzyniec wie. Kładę trzy płyty Gieschego na jedną Silesię.

Wawrzyńcowi mogłem pomóc od wypadku do wypadku. Miałem wtedy mnóstwo kreślarskich robót i moc obliczeń statycznych. Inżynier F. poczynał realizować zaprojektowaną przebudowę. Radował się i zacierał ręce:

— Ach, ta nasza niemiecka dyrekcja, to są ludzie!

Wychwalał ich i mawiał o nich z zachwytem. Zaakceptowali projekty inżyniera i postanowili wybudować nowy piec. W miejsce muflowego miał stanąć rotacyjny i w związku z tym trzeba było wybudować również nowy piec spalający koks. Doprowadzenie gazu koksowego miało ulec radykalnej zmianie. U wylotu rotacyjnego pieca z płynnym cynkiem miał stanąć przesuwalny piec na koks, zaś ekshaustor ustawiony w głębi drugiej hali miał poprzez szczelinę istniejącą między piecem a obracającym się kotłem porywać utleniający się cynk. Przez przeciwległy otwór kotła trzeba było wsuwać płyty cynku. Kocioł był obszerny, o wielkim przekroju i wysokich randach, i powierzchnia utleniania się była bez porównania rozleglejsza, aniżeli w ciasnym i wąskim muflu szamotowym. Nie tylko proces utleniania miał być krótszy: miało zniknąć pękanie mufli, uciekanie tlenku cynku; powolne wypalanie, czekanie na ostygnięcie i żmudne wyrywanie pękniętych mufli miało zniknąć raz na zawsze. Inżynier F. obliczył, że na samym grzybku, który pozostawał do tej pory na muflu a który teraz ulegnie kompletnemu utlenieniu, fabryka zaoszczędzi olbrzymie kwoty. Grzybek dawał jeszcze, po przetopieniu w hucie, jakiś odsetek cynku, ale przewożenie grzybka do hut na Śląsku kosztowało drożej, aniżeli wynosiła cena uzyskanego z powrotem cynku.

Inżynier F. wiele sobie przyrzekał po tym wynalazku, który zgłosił do Urzędu Patentowego. Jakiś profesor podpisujący korespondencję Urzędu zawiadomił go, że wynalazek został opatentowany. Nie ukrywał z tego powodu swojej radości:

— Zobaczysz, cały świat będzie u mnie zabiegał, abym sprzedawał swój patent. Ty jeszcze nie wiesz wszystkiego. Jak zobaczą moją biel, to się będą o mnie bili. Żeby się tylko udało.

Pokazywał mi na planach i wyjaśniał, że możliwość przesuwania pieca z koksem wpłynie na regulację dopływu gazu i będzie mógł dowoli robić jaśniejszą, bądź ciemniejszą biel.

Przerwałem mu:

— Przecież ciemna biel nikomu nie jest potrzebna.

Zirytowany zapytał:

— A co jest potrzebne?

— Redukcja żelaza i kadmu. Będziesz robił dużo, ale źle i ludzie znajdą się na bruku.

Spojrzał na mnie zdziwiony:

— Ludzie? Co mnie ludzie obchodzą? Wynalazki, wynalazki to najważniejsze. Miał jeszcze rozleglejsze plany.

— Gdybyśmy mieli Ural, mógłbym odrazu utleniać rudę, nie przetapiając jej na cynk.

Spojrzałem na niego przerażony.

— Jakto, gdybyśmy mieli Ural?

— No co, czego się dziwisz? Byłoby dobrze, gdybyśmy mieli Ural, czy tego nie rozumiesz?

— Nie, nie rozumiem.

Przyglądał mi się bacznie dłuższą chwilę.

— No, na przykład wojna i zabieramy bolszewikom Ukrainę, Ural...

Przerwałem mu:

— To może nastąpić tylko poprzez rozlew krwi i wtedy jeszcze wynik nie jest wiadomy. Proletariat nie pozwoli...

Wybuchnął śmiechem:

— Proletariat, proletariat, powiadasz — śmiał się głośno — a kto to taki, ten proletariat? Ty i Wawrzyniec? Bo pomocnik Szuster już pozwoli, nawet chętnie pójdzie.

— On cię nienawidzi, bo jesteś Żydem, ale jeśli chodzi o nienawiść do Związku Radzieckiego, to nagle jesteście w zgodzie.

— A kto powiedział, że ja jego kocham? Może mnie nienawidzieć, tacy się nie liczą. A poza tym, po co proletariatowi, jak ty to nazywasz, takie bogactwa, których nie potrafi wykorzystać?

*

W tym okresie wymówiono wszystkim pracę. Wygaszano piec, który miał ulec rozbiórce, i przystąpiono do przebudowy. Ku mojemu zdziwieniu, wśród pozostawionych znalazł się również pomocnik Szuster, który się nagle okazał murarzem i miał przystąpić do budowy fundamentów pod nowe urządzenia. Zjawili się inni murarze, zatrudnieni w firmie budowlanej, która podjęła się wykonania prac na fabryce, był wśród nich znany mi towarzysz M., a ten zapytany o pracę Szustra powiedział:

— Z niego murarz jak z kozi dupy trąbka.

Uradziliśmy, że pomówi ze swoim kierownictwem w sprawie zastąpienia lichego, przygodnego murarza lepszym, bo uprzedzony przeze mnie nie chciał mieć wśród swoich ludzi kogoś, co by ich szpiclował. Ale tu wdał się w sprawę inżynier F. Oświadczył krótko, że Szuster musi zostać, bo tego sobie życzy dyrekcja w O.

Sytuacja Wawrzyńca była wówczas bardzo kiepska. Przez kilka tygodni odbierał niewielki zasiłek, ale ilekroć go spotykałem, nie tracił humoru:

— Nareszcie mam czas na robotę — mówił o pracy partyjnej — tylko buty drą jak cholera. Wskazywał na swoje buty z cholewami, które sięgały zniekształconych kolan, i gładząc pieszczotliwie wąsy, pytał: No, jak tam nasz kochany Szuster, chyba zadowolony, że mnie nie widzi.

Po kilku miesiącach, to było pod koniec 1938 roku, gdy przebudowa została zakończona, wezwano odprawionych robotników. Wiedzieliśmy, że przy okazji przyjmowania inżynier F. odprawi niewygodnych ludzi. Oczywiście, nie mógł zastosować presji wobec wszystkich: hutnicy, palacze, niektórzy pakowacze byli mu potrzebni, mimo że wiedział o nich, że albo są związani z ruchem albo z nim sympatyzują; ale taki Wawrzyniec?

Lewica związkowa zebrała się w szopie, gdzie bednarze zbijali beczki, i omówiono sytuację. Należało za wszelką cenę wciągnąć bezpartyjnych i cały ogół zatrudnionych do wspólnej akcji w obronie zagrożonych, wiedzieliśmy bowiem, że solidarne wystąpienie może zmusić kierownictwo do przyjęcia wszystkich. Pod murem fabryki, gdzie ludzie wystawali całymi dniami, rozpoczęto rozmowy wyjaśniając, że ulepszenia techniczne spowodują redukcję: musimy się domagać przyjęcia wszystkich, bo nie wiadomo kogo przyjmą a kogo nie, dlatego też wystąpienie musi być solidarne. Pepesowcy, nieliczni zresztą, zgodzili się, ale wówczas okazało się, że kilku robotników w okresie przerwy przystąpiło za namową Szustra do „Pracy Polskiej". Ci mówili, że muszą się zapytać związku, ktoś mruknął z boku: może księdza?, ale skarcony przez Wawrzyńca zamilkł. Byli to ludzie uczciwi, ale chwiejni i obałamuceni. Czuli potrzebę organizacji, ale lewica związkowa wepchnięta w podziemie przez fraków i góry pepesowskie, sparaliżowana w swojej działalności, nie potrafiła wyjaśnić dostatecznie jasno klasowego sensu związku, którego członkami byli od niedawna. Wawrzyniec pytał:

— A kogo macie tam w tym swoim związku, kogo macie zapytać?

— Szustra.

— Toście się dobrze wybrali.

Zapytany Szuster wyjaśnił swoim związkowcom krótko:

— To jednolity front. Nie dajcie się wciągać przez komunistów.

— Przecież to robotnicy — odpowiadali— wówczas Szuster uderzył w najciemniejszą stronę.

— Tam są komuniści i Żydzi. Są przeciwko Bogu i ojczyźnie.

Wawrzyniec usiłował wyjaśnić im, na czym polega istota zagadnienia. Przede wszystkim Żyd, inżynier F., jest właśnie po stronie Szustra i oni to właśnie występują solidarnie, ale nie to jest ważne. Istotne jest to, że pomimo różnic narodowych łączy ich wspólny interes klasowy, obrona kapitalistów, którzy chcą wyrzucić na bruk robotników. Jeśli się nie obronimy sami — kto nas obroni? A wy co myślicie, jeśli po wyrzuceniu kilku komunistów okaże się, że trzeba redukować dalszych ludzi, to was nie wyrzucą? Mówiąc — „was" — ogarniał krótkim gestem skupionych w zwartej grupie członków „Pracy Polskiej". Któryś z nich powiedział:

— Ale to co chcemy zrobić, to jednolity front.

Wawrzyniec się żachnął:

— A wy co myślicie, że chcę przed wami ukrywać, że wspólne wystąpienie wszystkich robotników w obronie swoich interesów to krok ku wykuwaniu jednolitego frontu? Albo jesteście ślepi, albo nie chcecie widzieć, co się szykuje. Mówił o Hitlerze, o wizytach Goeringa w Polsce, o okrążaniu Związku Radzieckiego, ojczyzny proletariatu. Wszystkie te wydarzenia, zarówno te odległe, jak i bliskie, sprowadzał do bardzo konkretnych, bliskich spraw kryzysu gospodarczego i wojny, która — jeżeli wybuchnie — nie ominie żadnej rodziny, żadnego domu robotniczego. Wy myślicie, że będziemy was ciągnęli za poły? Wiecie, że mówię w imieniu partii, która jest w podziemiu dlatego, że jest groźna dla tych, którzy prą do wojny i żyją z wyzysku, ale

to jest partia robotnicza i o los robotniczy jej chodzi, a więc i o was.

Ktoś mu odpowiedział:

— To my mamy świat zbawić? Akurat my to zrobimy — do tonu powątpiewania dołączył ruch przeczący.

Wawrzyniec spojrzał na swego oponenta.

— My świata nie zbawimy przez to, że się połączymy w obronie towarzyszy pracy, których kapitaliści chcą wyrzucić, ale każda solidarnościowa akcja, każdy wspólny krok to lekcja dla klasy robotniczej, jak ma postępować i walczyć. Ot, o co chodzi.

Ludzie stali nieporuszeni. Było południe i z za muru pobliskiej remizy tramwajowej dochodził syk palnika acetylenowego. Ludzie się rozchodzili niezdecydowani, milczący.

— Wy myślicie, że namawiam do wspólnej akcji, bo się boję, że mnie wyrzucą? Gdyby nawet tak było, to co w tym widzicie złego? U kogo mam szukać pomocy, jeżeli nie u robotników? Może u dyrekcji, dla której jesteśmy gnojem, albo u inspektora pracy, który jest po to, aby ich bronić przed nami, ale nie nas. Ale wy nie myślicie sobie, że broniąc Wawrzyńca — wskazał na siebie — bronicie tego oto tu człowieka — znów wskazał na siebie. Robotnika bronicie!

Wawrzyniec uderzył celnie. Mówiąc o tym, że jest osobiście zainteresowany w tej wspólnej akcji, umieścił siebie wśród ludzi, których jutro było równie niepewne co jego. Co będzie z nimi za miesiąc, dwa, gdy osamotnieni staną u bramy fabrycznej bez pomocy i bez towarzyszy, któ-

rzy gotowi są podjąć dla nich trud walki w obronie każdego z nich? Cenili komunistów i poważali ich, zarówno za odwagę jak i za hart, ale nieprzywykli do surowej i otwartej walki, bałamuceni i ogłupiani widzieli awanturnictwo tam, gdzie chodziło o przemyślane i przewidujące posunięcia. Bo w końcu, czegóż od nich chciał ta łamaga, ten cały Wawrzyniec, łysy i pokraczny? Żeby się bronili przed atakami? Żeby wspólnie bronili kawałka chleba zdobywanego ciężką pracą?

— Zresztą, proponuję wybrać wspólny komitet akcji z przedstawicieli wszystkich ugrupowań, my wcale nie zamierzamy sami wziąć na siebie całego ciężaru akcji.

Jego oponent znów powiedział:

— To czego się stawiasz?

— Bo wiem, że wy tego nie potraficie. Ja wam daję tylko swoje doświadczenie. Przecież nie inżynier i nie Szuster będą cię uczyli, jak się masz bronić przed kapitalistami.

Wybrano trójkę. Byłem wśród delegatów, gdy inżynier F. nas przyjął.

— No cóż, panowie?

— My w sprawie przyjęcia.

— No, przyjęcie jest, przecież wisi ogłoszenie — wskazywał na drzwi biura i zwracając się do nas zapytał chmurnie:

— A bo co, na bramie nie ma?

— Jest na bramie, ale chcemy wiedzieć, jak z tym przyjęciem.

Sięgnął po listę leżącą na sąsiednim stole i rzucił na nią okiem.

— Przyjmujemy, ale nie wszystkich.

Odparłem: — wszystkich.

Zerwał się i zwracając ku mnie zaczerwienioną twarz powiedział, tłumiąc źle maskowaną wściekłość:

— Nie wszystkich. Wy tu nie decydujecie.

I wybuchnąwszy niepohamowanym gniewem:

— Jeszcze nie, bratku, na razie jeszcze nie. Nie przyjmiemy wszystkich.

Któryś z nas zapytał:

— A właściwie dlaczego?

Inżynier uspokajał się powoli i usiadłszy udawał ,że porządkuje papiery:

— Bo racjonalizacja. Przy nowym piecu trzeba nam mniej ludzi.

— A my nie chcemy głodować dlatego, że wam się chce więcej produkować.

— Zobaczymy.

— Zobaczymy?

Czułem, że tracę panowanie nad sobą. Zobaczymy? Jeżeli nie przyjmiecie wszystkich ludzi, to żaden nie wróci do roboty.

Spojrzał na mnie zimnymi' oczyma, ale już nie tracił spokoju:

— Nie brak ludzi, nie przyjdziecie wy, to przyjdą inni. Niech tylko kiwnę palcem a wnet zlecą się inni, no i co mi zrobicie?

Wybiegliśmy z biura i zmierzając ku bramie wołaliśmy do ludzi:

— Na halę, na halę, okupować fabrykę!

Posypali się ku nam, ale wciągnęliśmy ich na halę i tam zdaliśmy sprawę z przebiegu rozmowy. Widziałem Szustra uśmiechającego się ironicznie. Stał spokojnie oparty o żelazną belkę podtrzymującą strop i bębnił powoli palcami po blaszanej rurze. Ciągle się uśmiechał, nawet wtedy, gdy ludzie zajmowali swoje miejsca, gdzie zwykli byli pracować. Czy chciał tym uśmiechem ukryć poniesioną klęskę? Przecież widział, że „jego" związkowcy stali przy nas a więc popierali naszą akcję!

Nie wiedzieliśmy, jak długo ona potrwa, i po złożeniu sprawozdania postanowiliśmy wybrać komitet strajkowy złożony z trzech ludzi, który miał kierować strajkiem.

W odległym kącie hali zebrała się lewica związkowa. Postanowiliśmy, że delegat zasiadający w komitecie strajkowym będzie się komunikował we wszystkich sprawach z Wawrzyńcem a w razie jego nieobecności z Janem Z. Wiedzieliśmy, co oznaczało to „w razie jego nieobecności". W każdej chwili mogła się zjawić policja.

Obecnie, gdy wracam pamięcią wstecz do owych wydarzeń, trudno mi określić nastrój, jaki wówczas panował na tej rozległej, zimnej hali. Była wczesna wiosna, ale na [illegible] panował ziąb i przeciągi porywały z kamiennej podłogi resztki pyłu po niedawnych pracach murarskich i monterskich. W jednym z kątów walały się jeszcze barwne wstęgi i wieniec głajchy, która niedawno zdobiła wydźwignięty mur, w którym wybito nowe oberlufty.

— Pili, co? — mówił stary K., wskazując na porzuconą butelkę po wódce. — Pewnie pili zdrowie fabrykanta, ja bym mu wypił...

W chwili rozpoczęcia akcji nie mogliśmy wiedzieć, jaki ona obrót weźmie, ale po kilku dniach okazało się, że moment został dobrze wybrany. Przebudowa była skończona i dyrekcja nagliła z rozpoczęciem próbnego palenia. Chcieli się przekonać, jaka będzie produkcja, i Szuster, jedynie ten kręcił się koło nowego pieca koksowego, rozpalając go powoli i regulując u małego wentylatorka dopływ powietrza pod palenisko. Spalał koks od trzech dni, puszczając od czasu do czasu ekshaustor umieszczony na drugiej hali, aby po jakimś czasie sprawdzić na ciepłomierzu stopień rozgrzania wysyanego powietrza.

— Ważny, co?

Nikt się do niego nie zwracał. Pod wieczór począł zwozić cynk. Sam go ładował, przewoził, sam go składał i mimo że nie zwracałem na niego uwagi, wiem, że na górnej płycie stosu wypisywał kredą cyfrę złożonych płyt. Te jego czynności pobudzały nasze nadzieje, bo wiedzieliśmy, co oznaczają. Rotacyjny piec podgrzewany stale żarem i gazem koksowym był dostatecznie rozgrzany, aby można było włożyć w niego pierwsze płyty cynku, który Szuster bez przerwy dowoził, ciągle dowoził. Wiedzieliśmy, że piec raz rozpalony zostanie puszczony w ruch, a piec w ruchu musi mieć ludzi, palaczy, hutników, ładowaczy, pakowaczy, bednarzy!

Wówczas nie wiedziałem jeszcze, że w biurze dyrekcji leżą niewykonane zamówienia, które trzeba było najśpieszniej wykonać. Dopiero później, znacznie później dowiedziałem się, że zagraniczni odbiorcy naglili z wykonaniem umów, i to z bardzo wielu powodów. Przygotowania wojenne weszły w fazę ostateczną, już było po Monachium, zaledwie kilka miesięcy dzieliło nas od września i zarówno odbiorcy, jak dyrekcja w Niemczech wiedziała, że to co zdołają wyprodukować, sprzedać, wysłać — to wszystko przyśpieszy uzyskanie dewiz i czeków, które wszak były pewniejsze od magazynów pełnych surowca, znajdujących się na terenie zagrożonym wojną. Wiedzieli o tym doskonale: kilka miesięcy później przez te tereny przedarły się pierwsze niemieckie czołgi; niemieckie samoloty zważały, aby żadna bomba przypadkowo nie uderzyła w tę fabrykę.

Także odbiorcy naglili. Londyńską giełda notowała coraz wyższy kurs surowca, metale drożały i mimo to odpływały do przemysłu zbrojeniowego, ale czy nie dlatego właśnie drożały? Przed nabywcami otworzyły się nagle ogromne możliwości wielkich zysków, ponieważ zakontraktowali towar na bazie niższych notowań sprzed kilku miesięcy, zamówień zaś nie wykonano w terminie z powodu przebudowy fabryki..

Nagle zmienili warunki dostawy, anulując jednostronnie warunek fob na cif. Nie odstraszyły ich podwyższone stawki ubezpieczeń narzucone przez towarzystwa transportowe. Przeciwnie: to zmuszało do pośpiechu. Podwyższenie stawek ubezpieczeń morskich było najoczywistszym dowodem zbliżania się wojny. Nie szukali już zaprzyjaźnionych towarzystw, zwalając na dyrekcję obowiązek szukania nowych linii transportowych, nowych kompanii okrętowych i znów ożyły jakieś Lloydy, które dysponowały pływającymi baliami zamiast okrętów i statków. Ryzyko strat powiększyło się, nie wykluczano możliwosci awarii, ale czy nie lepsza pływająca balia zabierająca odrazu cały transport, bez przeładunku w Gdyni czy Gdańsku, co musiało wszak trwać kilka dni, gdy nie było absolutnej pewności, że pomimo zwłoki w przeładunku z wagonów na pokład, a więc po stracie czasu ,jakże drogocennego! transport trafi na wysłużony i wycofany już stateczek?

Dyrekcja akceptowała skwapliwie te zmiany, mimo że rok temu było to nie do pomyślenia. Akceptowała, ponieważ zapłata za dostawy następowała po doręczeniu konosamentów w porcie odbierającym ładunek, zaś dowody dostaw pływały razem z ładunkiem... Im prędzej statek wpływał do Bergen, Stavanger, Londynu, Konstantynopola, tym szybciej bank, posiadłszy dowody dostawy i odbioru przesyłki — przekazywał dewizy...

Dziś, gdy myślę, że Gdynia i Gdańsk — i nie tylko Gdynia i Gdańsk, ale porty całego świata — czekały przed wrześniem 1939 roku na ożywienie, które mogło być wywołane jedynie groźbą zbliżającej się wojny, i porównywam rozwój naszych portów po wojnie, widzę na tym przykładzie cały mechanizm tak zwanej prosperity kapitalizmu. Nic już nie mogło go ożywić, nic nie zdołało przyśpieszyć tętna tego organizmu, tylko wojna a więc rozlew krwi. Ta myśl układa się w efektowne zdania. Zapomnijcie o nich i zachowajcie w pamięci zdanie inne: kapitalizm mógł żyć tylko poprzez pożogę i rzeź, jednocześnie bogacąc się niepomiernie.

Tak więc wielka polityka i skomplikowane manipulacje giełdowe i bankowe towarzyszyły strajkowi okupacyjnemu w niewielkim polskim mieście naszego okręgu, wpływając na przebieg tej akcji, na jej krótkotrwałość i wynik. Ale myśmy jeszcze wówczas o tym wszystkim nie wiedzieli. Wiedziała o tym dyrekcja, która w ciągu nocy, poinformowana przez inżyniera F. telefonicznie o tym, co się dzieje na fabryce, poleciła natychmiast przyjąć wszystkich z powrotem. Nie o robotników im chodziło, nawet nie o te zarobki za pracę, dla ludzi— rzekomo niepotrzebnych jeszcze kilka godzin temu. Jednocześnie rozeszła się wieść, że dyrekcja, owszem, chciała przyjąć odrazu wszystkich z powrotem, tylko ten gorliwy Żyd, inżynier F. był temu przeciwny. To on jest wszystkiemu winien, to on chciał wprowadzać oszczędności, a zresztą, czy nie on zbudował ten nowy piec, aby powiększyć bezrobocie, aby polski robotnik znalazł się bez pracy na bruku?

Wyjaśnień tych udzielał na prawo i lewo Szuster.

*

Lewica związkowa zebrała się następnego dnia, aby dokonać oceny przeprowadzonej akcji. Ja byłem rad z odniesionego zwycięstwa, tymczasem Wawrzyniec nie zamierzał bynajmniej ukrywać swego niezadowolenia. Jego zdaniem, dwie sprawy zostały źle postawione. Pierwsza, to to nasze zebranie pod fabryką, gdy dokonaliśmy wyboru trójki, która miała pertraktować z inżynierem F. Nie zwróciliśmy delegatom uwagi na to, jak mają postępować i co mają uczynić, gdyby nasze żądania zostały odrzucone, a przecież zostały odrzucone. Szliśmy na pewniaka, ufni w swoje siły i słuszność żądania, aby przyjęto z powrotem wszystkich, bez wyjątku. Oceniał to jako błąd, bo co miało się dziać dalej, gdyby żądania nie spełniono? Udało nam się pociągnąć ludzi, ale co by się stało, gdyby ludzie na nasze wezwanie nie byli się wdarli na halę? To dobrze, zwrócił się do mnie, żeście nie potracili głowy, ale wszelkie ewentualności i możliwości trzeba było przewidzieć z góry, przedyskutować i należycie przemyśleć. Zawołaliście ludzi i poszli, ale gdyby się ociągali, gdybyśmy zostawili dyrekcji 10 minut tylko, już mieliby czas telefonicznie zawezwać policję, ta obstawiłaby bramę, i co wtedy?

Milczeliśmy uderzeni jasnością i słusznością wywodu bo z czym odeszlibyśmy od bramy, gdyby ludzie nie byli odrazu posłuchali naszego wezwania? Ale druga sprawa było poważniejsza. Wawrzyniec nie podzielał mojego zadowolenia z odniesionego tak łatwo zwycięstwa. Twierdził, że dyrekcja zbyt szybko ustąpiła i za tym może się kryć albo podstęp, albo takie taktyczne posunięcie, które w konsekwencji okaże się dla nas zgubne.

— Jeszcze nie wiem — wywodził Wawrzyniec — co się za tym kryje, ale ja znam kapitalistów i wiem, że tak łatwo, tak szybko nie spełniają żądań robotniczych. To też to zwycięstwo nie powinno usypiać naszej czujności, przeciwnie, musimy zewrzeć szeregi, bo pod tym względem możemy mówić o pełnym sukcesie. Załoga okazała się solidarna i tę solidarność musimy utrwalać. Jasne jest, żeśmy zwyciężyli, musimy jednak ludziom wyjaśniać, że czujność wobec wroga klasowego i nasza jedność to podstawa przyszłych zwycięstw.

Zapytałem:

— Co twoim zdaniem należało uczynić, gdy dyrekcja zgodziła się przyjąć wszystkich bez wyjątku z powrotem?

Namyślał się przez chwilę i odpowiedział:

— Trzeba było wysunąć wtedy dalsze żądania, takie jak podwyżka płac, takie jak mleko dla ludzi, takie jak gwarancja nie usuwania ludzi w przyszłości, usunięcie szpicla i najważniejsze — uznanie naszego przedstawicielstwa...

Przerwałem mu:

Tobie się wydaje, że ludzie upojeni odniesionym sukcesem poszliby odrazu za nami do walki o dalsze żądania? Przecież wiesz, że my dopiero zbieramy siły i że udało nam się wokół naszego kierownictwa zgromadzić pepesowców i tych z faszystowskiego związku.

Wawrzyniec się uśmiechnął:

— A ty co? Myślisz, że nie widzę tego wszystkiego. Ja tylko mówię, że musimy w dalszym ciągu wyjaśniać ludziom, że to nie ostatnie nasze zwycięstwo, że czekają nas dalsze walki, że każda akcja, nawet tak krótkotrwała, to lekcja bojowości robotniczej.

Już wspomniałem, dlaczego akcja nasza zakończyła się tak szybko i to powodzeniem. Zarówno Wawrzyniec, jak ja, nie znaliśmy powodów ustępliwości dyrekcji, jednakże tylko on nieomylnie wiedział, że za tą ustępliwością kryje się coś innego, coś, czego w żadnym wypadku nie należało nazwać dobrą wolą. My jeszcze dziś nazywamy sztukę przewidywania instynktem klasowym, ale czy to aby napewno instynkt? Czy ocena Wawrzyńca nie wywodziła się z długoletniej szkoły walki KPP, więzień, nielegalnej roboty?

Nowy piec ruszył i okazał się doskonały. Opanowaliśmy wkrótce nowy system produkcji, ba, stary Jan Z. wprowadził nawet ulepszenie ułatwiające kontrolę produkcji. W każdej chwili można było sprawdzić barwę tlenku cynku, jeszcze zanim gromadziła się w komorach. Wyławiał biel przy pomocy czworokątnej szufelki o otworze zwróconym pod prąd przelotu pyłu, którą wsuwał do otworu wyciętego w rurze wiodącej do ekshaustora. Wysypywał tę biel co 15—20 minut na arkusz niebieskiego papieru i porównywał z próbką bieli, służącą za wzorzec. Stał w hali odległej od pieca i tam pracował na zmianę również Wawrzyniec. Szuster nie mógł mu ani dokuczać ani przygadywać, nie widywali się niemal, bo do wózka z cynkiem poszli młodsi i silniejsi. Robotnicy pewni swojej siły, którą Wawrzyniec im przywrócił, przejawiali swój szacunek dla Wawrzyńca w ten sposób, że w dni wypłat nie musiał wystawać pod biurem, tylko zgłaszali się sami do niego, składając jakieś kwoty na MOPR:

— Swój chłop jesteś Wawrzek, na, masz.

Ten uśmiechał się, podkręcał wąsa i dorzucał:

— My wszyscy swoi. Tylko razem, tylko razem chłopaki.

(d. c. n.)

Stanisław Wygodzki

JANINA PREGER

O poezji Włodzimierza Słobodnika

Tom „Wierszy zebranych" Słobodnika*), który ukazał się niedawno nakładem Spółdz. Wyd. „Wiedza" przynosi przypomnienie utworów przedwojennych i cykl nowych wierszy poety. Wiersze z lat 1927—1938 interesują nas przede wszystkim jako świadectwo postawy ideowej Słobodnika w Polsce przedwrześniowej. Tematyka, jaką podejmował, pozwala określić jego ówczesną twórczość jako angażującą się często w sprawę walki klasy robotniczej. Wartość i odrębny charakter zawdzięcza ona przede wszystkim szczerej emocjonalności i sile przekonania.

Słobodnik zbliżony był do kół poetyckich „Kwadrygi". Radykalne nastawienie społeczne u pisarzy sprzed ćwierć wieku często znajdowało wyraz w poezji opisowej poświęconej: pracy, maszynie, miastu. Słobodnik nie uprawiał specjalnie urbanistycznej i „maszynistycznej" poezji — pociągały go raczej nastroje „sielskie", tematyka pracy odgrywała natomiast poważną rolę w jego wczesnych utworach, takich jak „Rzeczy", „Praca", „Żniwa", „Tartak", „Lipowa łyżka", „Piła", „Schody", „Orząca", „Posiłek", „Ranek na stacji". Wiersze te są przedmiotowe, nieskomplikowane — celem artystycznym, jaki w nich postawił sobie autor, było osiągnięcie „homeryckiej" plastyki w opisie.

Jak narodziny dziecka, święcę narodziny
Kredensu, szafy, krzesła, barczystego stołu
I każdej innej rzeczy w ładzie swym je-
[dynej,
Powstałej z człowieczego potu i mozołu.

— pisał poeta w wierszu pt. „Rzeczy",

Założenie programowe ówczesnej twórczości Słobodnika, że poezja walki społecznej musi być koniecznie o p i s e m pracy, takiej czy innej wyodrębnionej funkcji wytwórczej — było jednostronne. Literatura i poezja postępowa obejmuje o wiele większe bogactwo tematyki i zakres form — okazało się to już z dotychczasowego rozwoju twórczości w krajach socjalistycznych i w społeczeństwach, gdzie toczy się dopiero walka o socjalizm. Niewątpliwie jednak opisowość, przedmiotowość odpowiadała kierunkowi uzdolnień poetyckich Słobodnika. Wprawdzie dzisiaj takie wiersze, jak „Praca" czy „Schody" straciły swą „aktualność poetycką", lecz piękne liryki, które podczas ostatniej wojny napisze Słobodnik w Uzbekistanie — działają na czytelnika właśnie urokiem dojrzałej poezji „przedmiotowej", właśnie plastyką wizji świata rzeczy, klasyczną wyrazistością świata rzeczy i uczuć.

Włodzimierz Słobodnik

Owe opisy pracy są nieraz we wczesnych wierszach Słobodnika trochę sielankowo wyidealizowane. Bywają one natomiast pięknie wykorzystanym motywem lirycznym jak np. w ładnym erotyku pt. „Ranek na stacji":

(...) Ładują deski do wagonów. Słońce
Kładzie na szyby powtórzenie lśniące
Swojego światła, a to powtórzenie
Oddaje oczom twoim swe promienie.

Robotnik pije jasną wodę z rzeki,
Rzeka otwiera niebu swe powieki,
A dalej lasy, jak zwierzęta, drzemią
Pod czystym niebem nad gorącą ziemią.

O powiedz, miła, czy to, co widzimy,
Nie łączy mocniej nas, niż te widzenia,
Które z oczami zamkniętymi śnimy,
Namiętnie śnimy aż do przebudzenia?
(str. 128)

W tym miejscu wymienić należy również piękny liryk skamandrycki (a dokładniej — Iwaszkiewiczowski: w rytmie, konstrukcji liryczno-retorycznej i poincie — „smak ziemi") pt. „Posiłek". Wiersz ten jest przykładem ewolucji poetyckiej Słobodnika, u którego początkowa prymitywna poezja opisowa przekształca się z czasem w twórczość, o bardziej przekonywającym wyrazie artystycznym.

Obok obrazu pracy znajdujemy we wczesnych wierszach Słobodnika wiele utworów, związanych z bieżącymi wypadkami społecznymi czy politycznymi, manifestów walki lub solidarności robotniczej: „Pochód", „Robotnicy", „Bezrobotni", „Górnikom angielskim", „Robotnicy-sportowcy" i in. Znaczenie tych poezyj jest określone przez to, że powstały ze spontanicznej potrzeby uczuciowej pisarza, z jego bezpośredniego stosunku do sprawy walki i losów proletariatu.

W późniejszych wierszach Słobodnika, napisanych w ostatnim dziesiątku lat przed wojną, mniej już młodzieńczego optymizmu, a więcej smutku człowieka, któremu chcą wpoić przekonanie, że wraz ze swymi dążeniami jest obcy w polskim społeczeństwie.

Zbliżający się do Polski faszyzm rzuca melancholijny cień na jego przedwrześniowe wiersze. Natomiast „wiek klęski", którym były w życiu Europejczyków i Polaków lata okupacji hitlerowskiej przynosi wiersze najbardziej dojrzałe z całej twórczości poety. „Dom w Ferganie" i późniejsze, nawiązujące do tego cyklu wiersze — to najlepsze utwory w tomie „Wierszy zebranych".

Cykl, zatytułowany „Dom w Ferganie", obejmuje utwory z lat 1941 — 1945. Przemówiło tu jedno ze starych, tak dobrze znanych ludzkości uczuć: tęsknota emigrancka. Uczucie to otrzymało bardzo szerokie tło — dokoła utęsknionej ojczyzny wali się świat. Przecie nie cały: Słobodnik nie wątpi ani na chwilę, że stojąc na socjalistycznej ziemi radzieckiej — stoi na gruncie przyszłości. Widząc śmierć dookoła i nie ufając, by sam miał ujść śmierci, która porywa tylu dobrych i drogich — nie wątpi o wartości życia, nie wątpi w sens walki o przyszłość. Prosty i pozytywny stosunek do życia pozostaje i w tym przejmującym cyklu wierszy emigranckich charakterystyczną cechą poezji Słobodnika.

Tematyka i forma tych wierszy nawiązuje do naszej klasycznej tradycji: do Mickiewiczowskich sonetów tęsknoty, „Sonetów krymskich". Autorowi „Sonetów krymskich" poświęcił też Słobodnik w tym cyklu wiersz, zatytułowany „Krym".

Obraz egzotycznego, wspaniałego pejzażu — i tkwiąca za nim pamięć pejzażu innego, otoczenia i ludzi nieobecnych — to dwa elementy, charakterystyczne dla prostej konstrukcji lirycznej wierszy fergańskich Słobodnika. Najlepszym przykładem może być „Dom w Ferganie". Cztery jego początkowe strofy stwarzają klasyczny, nie przekraczający utartych ram, statyczny i plastyczny pejzaż wschodni:

Przed domem mym winograd tęskni za
[rozkwitem (...)
Jak w Biblii w głębi sadu stoją kształtne
[krowy (...)
Na drodze idą szare osiołki z szuokiem
Albo rude wielbłądy ciągną sennym sznu-
[rem,
Nad powolnym, poważnym, miarowym ich
[krokiem
Zamierzchłość wiesza pustyń upalną
[purpurę.

A dwie strofy końcowe mówią o tym, czego nie ma przed oczyma, a co zawsze obecne jest myśli — poza oglądanym widokiem:

A przed zmrokiem, gdy w piecu siwy
[chrust rozpalę,
Ciche psy zaglądają do kibitki mojej,
I czekam coraz smutniej, patrzę coraz
[dalej,
I zmroczniały na progu mej lepianki stoję.

Czekam, patrzę, aż wreszcie nadciągnie
[zmierzchanie.
Pożegnalne promienie przemkną po ogro-
[dzie
I jak kwiat fantastyczny, tu, w Uzbeki-
[stanie
Zakwita Polska zorzą, lśniącą na zachodzie.
(str. 229)

Statyczność, plastyka, obrazowość są istotnym rysem liryki Słobodnika. Miłość do świata rzeczy, optymistyczna aprobata materii, kształtu, zarysu wszystkiego, co dostępne jest zmysłom w codziennym obcowaniu — te cechy temperamentu poetyckiego Słobodnika powodują w jego twórczości skłonność do zatrzymania się przy widoku rzeczy, do pewnej kontemplacji zastanego świata i do utrwalenia jego oglądu w kształcie statycznym. Najlepsze wiersze fergańskie działają podobnie jek płaskorzeźba. Słobodnik wybiera wyraźne, oddzielne, pojedyncze elementy wizualne — barwy nieba, barwy roślinności w ogrodzie, ruch na drodze, postaci zwierzęce, gesty ludzi. Obraz Słobodnika i w tym nawiązuje do klasycyzmu, że nie jest budowany z bardzo konkretnych sensualistycznych realiów, szczegółów doznań; poeta komponuje go raczej z nazw całych przedmiotów, całych zjawisk, a zatem korzysta często z pojęć ogólnych lub skojarzeń tradycyjnych, ustalonych przez konwencję. Dzięki temu jednak, że elementy budowy lirycznej należą już do pewnej konwencji literackiej — są one łatwe do przyjęcia, zrozumienia i szybko wywołują obraz u czytelnika, gdyż trafiają na już utorowane drogi skojarzeń jego wyobraźni. A więc Wschód np. w wierszu „Poranek lipcowy" to: „koń", „arba", „wielbłądy", które przechodzą „poważnym krokiem", kobiety „w długich zasłonach", „gardłowy śpiew", „morelowe sady". Poeta, jak klasycy, apeluje do pojęć stosunkowo ogólnych, wyraźnych, powszechnie znanych, używa epitetów w połączeniach już przekazanych przez tradycję literacką i używa ich sy-

*) Włodzimierz Słobodnik: „Wiersze zebrane", Spółdz. Wyd. „Wiedza", Warszawa, 1948 r. str. 302 i 2 nl., z portretem autora.

metrycznie w budowie frazy wierszowej, prawie każda nazwa rzeczy opatrzona jest epitetem: „pracowity gospodarz", „leniwy błękit", „niebieska kraina", „gliniany dzban", „wystałe wino", „wonne winnice".

Poezja Słobodnika wyosobnia i monumentalizuje pojedyńcze, ornamentalne elementy otaczającego go świata pracy wiejskiej i pejzażu ziemi uzbeckiej. Poeta zatrzymuje wzrokiem jakiś gest — i poświęca mu cały wiersz — np. „Krok dziewczyn uzbeckich". Chętnie też sięga do przypowieści.

Forma rytmiczna wierszy Słobodnika podkreśla jego dążenie do plastycznego wyodrębnienia elementów lirycznej budowy, do zamykania ich w wyraźnej ramie. Obraz, całość zdania, zamknięta jest zazwyczaj w dystychu. Wyraźny rytm podkreśla prostą budowę stroficzną, chętnie używa poeta energicznego rymu męskiego. Rymy są raczej dokładne niż wyszukane, zdania krótkie i proste, bez subtelności składniowych. Szyk wyrazów w wierszu Słobodnika należy przeważnie do konwencji stylu poetyckiego, a nie jest szykiem mowy codziennej.

Zdarza się, że zbyt krótki wiersz miewa u Słobodnika rytm skoczny, co nie wypada na korzyść utworu. Natomiast dążenie do plastyki i pewnej hieratyczności zostaje dobrze podkreślone przez poważne kadencje wielozgłoskowych, regularnie rymowanych wierszy, zamkniętych w strofy.

Śród wierszy, pisanych w latach wojny w Uzbekistanie wyróżniają się szczególnie: „Dom w Ferganie", „Krajobraz polski", „Jest w Polsce", „Szopen", „Do drzewka morelowego", „Skroś śpiew i noc".

*

Piękno pracy na roli, obyczaju życia wiejskiego absorbowało Słobodnika od dawna. Wyrażał to przedtem w szeregu wierszy, związanych z Mazowszem. Postacie ludzi i zwierząt, czynności gospodarskie, powtarzające się i niejako odwieczne — wszystko to na tle ulubionego pejzażu — oglądał poeta pogodnym wzrokiem człowieka, miłującego świat rzeczy — mimo że w tym świecie tkwił cierń krzywdy. Było jednak w tamtych wierszach przedwojennych jeszcze sporo szablonu w słownictwie, naiwności i powtórzeń w obrazach. O wiele lepsze są wiersze na ten sam temat, stworzone w Ferganie i późniejsze polskie, napisane po powrocie do kraju. W wierszach z Fergany czytelnik odczuwa szczerą ekspresję liryczną. Poecie udało się stworzyć obraz, w którym odwieczny porządek prac codziennych tchnie powagą i pięknem, plastyką, stylizowaną na Biblii. — Głęboka zgoda wewnętrzna z charakterem otaczającego życia — gdyż jest to życie pracy w kraju twórczego i walczącego socjalizmu — pozwoliła Słobodnikowi stworzyć przekonywającą stylizację i idealizację.

Przedtem idyliczny i wyidealizowany obraz dojarki na wsi mazowieckiej w latach przedwojennych mógł budzić u czytelnika uśmiech i zastrzeżenie, gdyż ta idealizacja wydawała się artystyczną naiwnością w zestawieniu z warunkami gospodarczymi i społecznymi. — Natomiast w wierszach uzbeckich Słobodnika ta idealizacja nie razi, gdyż wypływa ze zgody z ustrojem życia otaczającego, z serdecznej aprobaty poety dla tego świata.

Piękne są wiersze Słobodnika, poświęcone postaciom z ludu uzbeckiego. Niektóre szczęśliwie nawiązują do ludowej pieśni epickiej, np. „Śmierć Optochan" to pełna subtelności, egzotycznie stylizowana opowieść o młodej kobiecie uzbeckiej, wdowie po bojowniku radzieckim, która umiera z tęsknoty i miłości do utraconego męża — jak bywa w ludowych opowieściach bohaterskich. Ludzie radzieccy — te nowe charaktery, wydobywane z tradycyjnego prastarego podłoża ludowego, gorąco przywiązali do siebie serce pisarza, który wśród nich znalazł przytułek.

Poeta nie tylko w Ferganie tęsknił do Polski — ale i w Polsce, po powrocie, tęsknił do Fergany. Częsty paradoks uczuciowy! Z tych wspomnień powstała druga część cyklu, zawierająca najpiękniejsze w tym tomie utwory: „Eleonorze", „Powrót codzienny", „Pustynia Kara-Kum", „Krok dziewczyn uzbeckich", Miłość zamierzchła".

*

Końcowa część tomu, to ostatnie wiersze, pisane w Polsce, poświęcone polskim miastom i pejzażom. Wyróżniają się wśród nich: „Ruiny Gdańska", „Hel", „Jesień nadmorska", „Wierne echo".

Wracając po latach do tematu Mazowsza, potrafi Słobodnik z prawdziwą głębią wyrazić swój uczuciowy związek z pejzażem wsi polskiej, a spojrzenie społecznika staje się źródłem oryginalnego i poetyckiego ujęcia obrazu, np. w wierszu „Wierne echo":

Jest na Mazowszu taka jedna chwila,
Gdy zgrzane orką pługi o wieczór się otrą,
A niebo, co nad misą ziemi się pochyla,
Ma twarz od potu mokrą.

I gwiazdy pachną potem, jakby je rozsiała
Po niebie dłoń oracza ogorzała.
I każdy kwiat złowiony w zmierzchu sieci,
Nie kroplą rosy, kroplą potu świeci.

Wtedy, chociaż nie jestem ulepiony z gliny
Mazowsza, łączę oddech z ornych pól
[oddechem
I zasłuchany w głosy ziemi mej rodzinnej
Jestem ich wiernym echem.

Ostatnie utwory Słobodnika cechuje ładunek konkretnego szczegółu, doznań zmysłowych kojarzących się z indywidualnym, własnym przeżyciem lirycznym poety.

Janina Preger

Oblicze szkolnictwa angielskiego

(Dokończenie ze str. 2)

Urządzenie takie doskonale dogadza kapitalizmowi: czerpie on spośród studentów o wykształceniu uniwersyteckim specjalnym, z których wielu uczyło się na koszt państwa — i obraca ich umiejętności i inicjatywę w zysk przedsiębiorstwa i jego akcjonariuszy.

Pomyślmy tylko, jakie by to miało znaczenie dla możliwości nauki klasy robotniczej, gdyby miliony funtów szterlingów, wydawane przez snobistycznych rodziców na szkoły prywatne, gimnazja, „Public Schools" i uniwersytety, przeznaczono na cele ogólnego kształcenia mas przy pomocy postępowego, demokratycznego systemu. A ci, którzy obecnie płacą z pobudek egoistycznych, mogliby się zdobyć na płacenie dla celów dobra publicznego.

Ernest Barker, członek Merton College w Oksfordzie, pisze w swych „British Universities": „Służba dla dobra ogólnego jest ostatecznym celem zdobywania wiedzy. Służenie wąskim interesom prywatnym zacieśnia horyzonty nauki". W Wielkiej Brytanii nauka służy kapitalizmowi, zarówno w dziedzinie nauk humanistycznych, które zajmują się, wedle słów Gorkiego, „łataniem filozoficznych i kościelnych szat mieszczaństwa", jak i w dziedzinie nauk ścisłych, które nie przynoszą korzyści robotnikom, lecz jedynie zyski dla monopoli. W Wielkiej Brytanii nauka służy więc ciasnym, prywatnym interesom. Gdy bowiem nauka ma na celu służenie szerokim masom ludowym, wtedy nie zna żadnych ograniczeń, jest powszechna.

Ostrość granicy oddzielającej w Anglii szkolnictwo państwowe od szkolnictwa opłacanego przez rodziców uwydatnia jeszcze fakt, że nauczyciele po obu stronach tej granicy mają zupełnie inne przygotowanie zawodowe. Tylko mały odsetek nauczycieli szkół państwowych posiada wykształcenie uniwersyteckie. Większość wyszła z seminariów nauczycielskich, nie cieszących się szacunkiem świata akademickiego, gdyż są pozostałością po dawnych, dziewiętnastowiecznych seminariach kościelnych, przygotowujących nauczycieli dla szkół elementarnych. Natomiast nauczyciele gimnazjów i szkół publicznych t. zw. masters muszą mieć wykształcenie uniwersyteckie. Pamiętam zamieszanie, jakie powstało w moim gimnazjum, gdy na skutek trudności wojennych trzeba było dopuścić do hierarchii nauczycielskiej po raz pierwszy magistra z innego uniwersytetu niż Oksford lub Cambridge. Sytuacja nie uległa poprawie nawet wtedy, gdy stwierdzono, że ten matematyk z Manchester był lepszym nauczycielem, milszym towarzyszem gier sportowych i bardziej lubianym przez nas chłopców, niż którykolwiek z jego kolegów, wychowanków dawnych uniwersytetów.

Snobizm intelektualny jest tu bardzo widoczny i nie wymaga podkreślenia. Nauczyciele szkół i gimnazjów prywatnych posiadają nawet swój własny związek zawodowy „The Joint Four", którego głównym celem jest kultywowanie przekonania o wyższości i odrębności jego członków w stosunku do członków Narodowego Związku Nauczycieli, z którym często bywa w konflikcie.

Pomimo spotykanych przy pracy przeszkód, zasługą nauczycieli szkół państwowych i ich związku jest wszystko, co można uznać za pozytywne w dzisiejszym angielskim szkolnictwie państwowym. Wartościowe jednostki wśród nich przezwyciężyły, w pewnym stopniu przynajmniej, poważne usterki systemu szkolnego a ich zbiorowe wysiłki bardziej niż jakikolwiek inny czynnik czy inny splot czynników, zdobyły dla dzieci robotniczych te możliwości oświatowe, które są dzisiaj ich udziałem. Wspomniane już poprzednio sprawozdanie Ministerstwa Oświaty za rok 1948 przyznaje, że tego roku nauczycielstwo przyczyniło się do ocalenia szkolnictwa z krytycznej sytuacji powstałej wskutek niewprowadzenia w życie ustawy z roku 1944. Minister, acz z niechęcią, uznał zasługi i inicjatywę nauczycieli pokonywujących brak pomieszczeń i ubóstwo pomocy szkolnych.

Narodowy Związek Nauczycieli jest organizacją walczącą, a celem walki jest, po pierwsze, uzyskanie od społeczeństwa kapitalistycznego lepszego systemu szkół dla ludu, dla dzieci z ludu, po drugie — lepsze przygotowanie fachowe nauczycieli oraz polepszenie warunków ich pracy i bytu.

Kierownicy Związku chorują jednak na nadmiar tak zwanej ostrożności, która w gruncie rzeczy nie jest niczym innym, jak tylko niepotrzebną gotowością do podporządkowania interesów szkolnictwa i nauczycieli burżuazji i kapitałowi. Lecz szeregowi członkowie Związku rwą się do odegrania swej roli, do wystąpienia w tej walce między siłami postępu i reakcji jako rzecznicy nowej demokratycznej myśli ludowej. Niestety, jak to wykazała ostatnio Światowa Konferencja Międzynarodowej Federacji Nauczycielskiej, prześladowanie postępowych nauczycieli w krajach kapitalistycznych uniemożliwia im spełnienie ich zadań.

W konkluzji można powiedzieć, że dzisiejsza Anglia daleka jest od zapewnienia wszystkim swoim obywatelom równego startu w dziedzinie oświaty. Możliwości robotników są w dużej mierze ograniczone, natomiast wszystko stoi otworem przed tymi, którzy mogą płacić, czerpiąc z zarobionych na pracy ludu bogactw, albo z zarobków wypłacanych im przez kapitalistów za podtrzymywanie ich zgniłego systemu ekonomicznego. Cały angielski system szkolnictwa ułożony jest tak, by nauka bezpłatna wyglądała na dobrodziejstwo, a ci którzy z niej korzystają, mogli być uważani za niższych i byli tej niższości świadomi. Tym sposobem burżuazja usiłuje utrzymać robotników w przekonaniu, że należą do klasy niższej, że ich przeznaczeniem życiowym jest praca dla klas wyższych, które stać na to, by być inaczej, choć niekoniecznie lepiej, wykształconymi.

Ernest Barker, na którego już się powoływałem, pisze: „Gdy całą swoją karierę zawdzięcza się stypendiom otrzymanym w ramach tego systemu, trudno wówczas zdobyć się na krytykę. System wydaje się dobry". Ale każdy postępowy człowiek całym swym jestestwem buntuje się przeciw stypendiom, które mają charakter jałmużny dla „ubogiego, lecz obiecującego". Ci, którzy w przyszłości mogą być użyci dla wzmocnienia kapitalizmu, otrzymują wyróżnienie, za które powinni być wdzięczni. Oświata jest prawem każdego człowieka na świecie. W prawdziwie demokratycznym społeczeństwie obywatel nie pogodzi się z uznaniem jej za jałmużnę lub z udzielaniem jej w ramach systemu nadającego jej posmak jałmużny w niektórych wypadkach, a uznającego ją za należność w innych — kiedy jest opłacona.

Brytyjski system szkolnictwa jest odpowiedzialny za wychowywanie ludzi o niezrównoważonych umysłach. Wydają oni 760.000.000 funtów szt. rocznie na zbrojenia, a jedynie trzecią część tej sumy na oświatę. Tak wygląda kapitalizm w działaniu. W jednej tylko dzielnicy kraju plan przeznaczający 1.500.000 funtów szterl. na nowe szkoły, opracowany przez miejscowe władze, obcięty został w Ministerstwie Oświaty do sumy 700.000 funtów w tym celu, by budżet na zbrojenia mógł pozostać nietknięty.

Owocem szkolnictwa angielskiego jest świadomość klasowa. Szkoła państwowa utrzymuje klasę pracującą w pozycji wyznaczonej jej w systemie kapitalistycznym. Gimnazja dostarczają wciąż nowych rekrutów do szeregów urzędników i średniej burżuazji, łaszących się do klas wyższych, którym stwarzają klamliwy pozór prawomocności ich gospodarczego wyzysku. „Public Schools" wreszcie przygotowują snobistyczną, tak zwaną rządzącą klasę, która żyje z pracy innych i m. in. zmusza robotników do wojen, bo ciągnie z nich grube zyski. Tę bezsensowną konstrukcję szkolnictwa przypieczętowują i koronują uniwersytety, jako tego systemu część składowa, niezależnie od ich wartości kulturalnych i naukowych dla poszczególnych studentów.

Ponieważ nie ma wzajemnego przenikania się między poszczególnymi gałęziami w systemie szkolnictwa angielskiego, przeto ma on niedwuznacznie na celu utrzymanie istniejącego mieszczańsko-kapitalistycznego społeczeństwa. Szkolnictwo w Wielkiej Brytanii, jak wykazała rezolucja uchwalona na ostatniej Międzynarodowej Konferencji Nauczycielskiej w Warszawie, jest instrumentem służącym do ujarzmienia ludu.

George C. Bidwell

OPERA ŚLĄSKA W WARSZAWIE

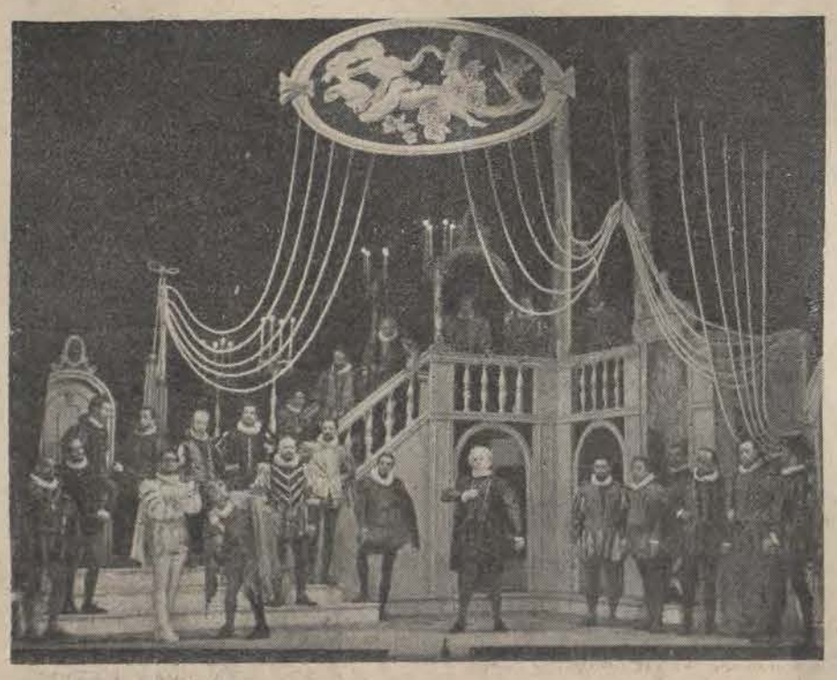

Scena zbiorowa z I aktu opery „Rigoletto" Verdiego

W czwartek 1 września w Państwowym Teatrze Polskim odbyła się uroczysta inauguracja Miesiąca Odbudowy Warszawy. Na program uroczystości złożył się wielki koncert Opery Śląskiej z udziałem wszystkich solistów orkiestry i chóru. Warszawska publiczność gorąco przyjęła artystów, którzy w pełni zasłużyli na liczne brawa i bisy, a zwłaszcza B. Kostrzewska, J. Lachetówna, B. Paprocki i W. Domieniecki.

Trzeba przy tym podkreślić społeczną zasługę Opery Śląskiej, która jest „Teatrem na kółkach" i solidnie przyczynia się do krzewienia kultury poprzez częste wyjazdy z Bytomia gdzie stale przebywa. Ostatnio w ciągu miesiąca Opera Śląska dała 37 przedstawień w Łodzi, w tym 13-cie dla robotników.

NA PÓŁKACH KSIĘGARSKICH

Jan Laffitte. Życie to walka. Przekład Marii Stromengerowej. Okładkę projektował Stefan Bernaciński. Warszawa, „Książka i Wiedza", 1949 r. Str. 330 i nl.

Książka Laffitte'a — pod względem tematyki — nie jest czymś wyjątkowym: o Ruchu Oporu (we Francji i gdzie indziej), zarówno jak i o piekle hitlerowskim obozów koncentracyjnych pisano już wiele i nie na znane skądinąd realia walki i grozy przy czytaniu tej książki zwracamy przede wszystkim uwagę. Istnieją natomiast dwa inne momenty wyróżniające książkę-pamiętnik Laffitte'a od wielu publikacyj podobnych. Po pierwsze napisał ją niezawodowy literat, lecz skromny robotnik, jeden z wielu walczących ludzi pracy! po drugie autor jest i był — w chwili ujęcia go przez gestapo — świadomym, czynnym, wiernym ideałom swej Partii komunistą, co określa bez reszty jego postawę wobec przeżywanych doświadczeń i nadaje temu pamiętnikowi szczególne napięcie dramatyczne, uwidocznione już w samym tytule.

Aresztowany w roku 1942, Laffitte przebył aż do końca wojny w dwóch głośnych „fabrykach śmierci" — Mauthausen i Ebensee. Na przykładzie obozowych dziejów Laffitte'a podziwiać można, jak nadludzko silnym i odpornym potrafi stać się zwykły człowiek, gdy jego myślą, czynem, całą świadomością kieruje wielka idea patriotyzmu rzetelnie pojętego i wolności, która ma wyraźne oblicze społeczne. W warunkach obozowej kaźni tacy jak Laffitte umieli wznieść się do wyżyn bohaterstwa: nie w zwykłej walce o własne biologiczne przetrwanie, lecz w ogarniającym szersze horyzonty działaniu w zorganizowanej grupie towarzyszów niedoli, w czynnej obronie ich przed załamaniem duchowym i śmiercią fizyczną, w uporczywym, codziennym przeciwstawianiu się wszystkiemu, co może zwątlić wiarę i nadzieję zwycięstwa. Ten aktywnie świadczony humanizm Laffitte'a, ta ofiarna walka o ocalenie skazanego, zdawało by się nieuchronnie, na zagładę, dręczonego na wszelkie sposoby człowieka — stanowią właśnie o ideologicznej zawartości książki, decydują o jej istotnym sensie i wadze.

Nie ma w tej książce cierpiętnictwa, czułostkowości, łzawego mistycyzmu. Jest jasne, trzeźwe, z faktu przynależności do Partii płynące zrozumienie, jaka jest ogólna stawka w walce z faszyzmem i dlaczego toczyć ją trzeba nieodzownie nawet poza drutami obozów koncentracyjnych. Zastanawiając się nad właściwościami psychiki hitlerowskich oprawców, Laffitte słusznie konkluduje: „Są oni po prostu wytworem pewnego ustroju; faszyzmu. Ohydne bestie, które trzeba zdeptać, aby świat mógł żyć. Wobec takich wrogów nie ma wyjścia: albo zabijać, albo dać się zabić"...

Są to słowa bojownika, który nie zna odwrotu. Jego prosta i piękna książka zasługuje na poczytność masową.

bd.

KORESPONDENCJA

W poszukiwaniu narodowych form architektury

Szereg artykułów E. Goldzamta o doświadczeniach architektury radzieckiej, drukowanych w „Nowych Drogach" (nr 3), w „Architekturze" (nr 6—8), w „Stolicy" (nr 33), poruszył m. in. bardzo istotne zagadnienia poszukiwania form narodowych w architekturze polskiej. Zagadnienie to musi być postawione jak najdalej od wszelkiego naśladownictwa formalnego stylów minionych epok. Należy natomiast starać się o ujęcie syntetyczne charakteru architektury polskiej w jej dotychczasowym dorobku. Wyciągnięte stąd wnioski winny służyć architektom polskim do wypracowania nowych form pozostających w zgodzie z duchem architetury narodowej i socjalistyczną rzeczywistością.

Nasz dorobek architektoniczny przeszłości — trzeba to jasno powiedzieć — oparł się w dużej mierze na architektach zagranicznych, głównie włoskich, którzy zwykle dostosowywali się do warunków lokalnych a nawet wypracowywali wespół z artystami polskimi nowe formy zgodne z polskim klimatem i polskimi tradycjami plastycznymi.

E. Goldzamt w artykule drukowanym w numerze 33 „Stolicy" pisze: „Nauczymy się przejmować tę tektonikę od naszej wielkiej humanistycznej architektury wieków ubiegłych, od twórców Zamku Wawelskiego i Łazienek, Kaplicy Zygmuntowskiej i Teatru Wielkiego". Ogólną tezą autora jest zdanie, że spośród stylów architektonicznych przeszłości jedynie renesans jest niesmiertelny, będąc „żywiołową, jędrną apoteozą człowieka". Obok niego (na co dowodem jest także materiał ilustracyjny do artykułu) jedynie jeszcze klasycyzm polski zasługuje na uwagę jako teren poszukiwań formalnych. Przyjrzyjmy się jednak bliżej czterem wymienionym pomnikom architektury, z których dwa przynależą do renesansu, dwa do stanisławowskiego neoklasyku. Autorami tych budowli byli kolejno:

Zamku Wawelskiego (jego najlepszych partii, tzn. dziedzińca i niektórych sal) — Francesco della Lore.

Pałacu Łazienkowskiego — Merlini i Kamsetzer.

Kaplicy Zygmuntowskiej — Bartolomeo Berecci.

Teatru Wielkiego — Antonio Corazzi.

We wszystkich czterech wypadkach mamy do czynienia z dziełami obcokrajowców, głównie Włochów. I tutaj po raz pierwszy należy, sądzę, zrewidować pogląd, jakoby nasze poszukiwania formalne miały się właśnie odnosić do tych doskonałych skądinąd, lecz niezupełnie polskich budowli.

Za rodzime natomiast osiągnięcia architektoniczne wypada nam uznać raczej „szkołę krakowską" kościołów gotyckich oraz formy barokowe przyjęte u nas niemal jednocześnie z powstaniem baroku we Włoszech (budowa kościoła św. Piotra i Pawła w Krakowie została zakończona wcześniej od rzymskiego „Il Gesu"), które to formy nie tylko terytorialnie rozszerzyły się po całym obszarze kraju, ale i rozmnożyły się w ilości imponującej.

Jak silnie wyczuwany był w Polsce gotyk, świadczyć może o tym ten sam zresztą Zamek na Wawelu. Dziedziniec w dwu pierwszych kondygnacjach renesansowy (dzieło della Lore), otrzymał trzecią kondygnację (już chyba przez polskiego architekta wykonaną) obcą duchowi czystego renesansu włoskiego. Proporcja pięter — I : II : III = 6,50 : 5,50 : 8,50 jest herezją w zakresie kanonów klasycznych. Wysmukłe słupy tego piętra, tak udatnie zharmonizowane z renesansowym dołem — pomimo jońskich kapiteli — są chyba jedyną w świecie „gotycką" interpretacją renesansu. Całość wreszcie otrzymała gotycki dach, który usprawiedliwia tę niezwykłą proporcję słupów.

Jeżeli teraz odwrócimy uwagę od dziedzińca i przyjrzymy się słynnym wawelskim odrzwiom renesansowym, dostrzeżemy w nich łatwo elementy gotyckie, w ten sam mistrzowski sposób przeobrażające włoski renesans.

Trzeba także zwrócić uwagę na niezwykle charakterystyczną na terenie Polski symbiozę gotyku i baroku (gotycka wieża ratuszowa w Krakowie zakończona barokowym hełmem, jak i jedna z wież Katedry Wawelskiej). To samo zjawisko zaobserwować można u tak bliskiego nam narodu, jak Czesi (gotycko-barokowa Praga). To „współżycie" dwu stylów istnieje także w polskiej sztuce ludowej. Większość przykładów malarstwa i rzeźby ludowej nosi znamiona obu tych kierunków zespolonych często w jednym i tym samym dziele.

Trudno tu pominąć lekcję, jaką nam daje polska architektura ludowa: kościoły drewniane w Chabówce, Rabce, Harklowej, Wieliczce i w wielu innych miejscowościach są swoistą interpretacją form gotyckich, przy czym i tu niejednokrotnie zauważyć można barokowe elementy. Te same znamiona gotyckie mają drewniane budowle świeckie (śpichlerze, zajazdy), gdzie niezmiennie powtarza się motyw spadzistego, wysokiego dachu. Sądzę, że w tych właśnie budowlach należy szukać narodowych form architektonicznych.

Renesans nigdy nie był w Polsce wyczuwany, równie żywo, jak gotyk lub barok. Wiele kościołów posiada jedynie zewnętrzne cechy renesansu, gdy w swej istocie są one budowlami gotyckimi.

Mówiąc o klasycyzmie w architekturze polskiej, nie od rzeczy będzie przytoczyć słowa Aleksandra Brücknera: „Za Sasów pokutował spóźniony barok, który nas z Niemiec dochodził, za Stanisława Augusta rozpanoszył się z Francji wprost styl rokoka, przekwitający poniekąd na Zachodzie i ustępujący powoli nowemu klasycyzmowi, już nie renesansowemu, bujnemu, pełnemu życia, lecz antykowi zmanierowanemu, mniemaną prostotą i czystością linii maskującemu brak własnej inwencji, fantazji, polotu. **Nie było na tym polu ani dyletantów, ani wyszkolonych sił rodzimych; zalew obcy, Niemców i Włochów, wyjątkowo Francuzów, tę dobę cechował".** (A. Brückner: Dzieje Kultury Polskiej, t. III, str. 388. Podkreślenia moje).

We wspomnianym artykule E. Goldzamta w „Stolicy" padło m. in. nazwisko Noakowskiego jako tego, który przeżywał duchową rozterkę w okresie dwudziestolecia. Bodajże właśnie Noakowski uchwycił najlepiej ducha architektury narodowej. Jego mistrzowskie rysunki nigdy niezrealizowanych budowli podkreślają dobitnie gotyckość i barokowość naszej architektury narodowej.

Sądzę, że na tych właśnie podstawach oprzeć należy poszukiwania narodowej formy architektonicznej, w którą obleczona socjalistyczną, współczesna treść da nam w rezultacie nowoczesną polską architekturę państwa ludowego.

Leszek Zawisza

SPROSTOWANIE

W numerze 33 (205) z 21 sierpnia br. wkradło się parę błędów korektorskich do wydrukowanych tam przekładów Jerzego Zagórskiego z poezji francuskiej, co zmienia sens poszczególnych utworów, a mianowicie:

1) Pierwsza strofa wiersza Aragona pt. „Dialektyka w miesiącu Marsa" powinna brzmieć:

Niosąc w swym łonie wojny miecze
Marzec jak Mars przekorny bardzo
Trzeba mu biało rzec gdy mówi czarno
I czarno kiedy biało rzecze

nie zaś jak zostało wydrukowane:

Miesiąc w swym łonie wojny miecze
Marzec jak Mars przekorny bardzo
Trzeba mu biało rzec gdy mówi czarne
I czarne kiedy biało rzecze.

2) W tymże wierszu w trzeciej linijce drugiej strofy, która powinna brzmieć:

Dzień jeden właśnie mają panie

niepotrzebnie został wstawiony przecinek po wyrazie *mają*.

3) W wierszu Moussinaca „Tego wieczoru" pierwsza linijka trzeciej strofy winna brzmieć:

Dni, noce zmienią swe warty ruchome

nie zaś jak zostało wydrukowane:

Dni, noce zmienia się warty ruchome.

PRZEGLĄD PRASY

Kłopoty z jubileuszami

Rok bieżący dziwnym zbiegiem okoliczności jest rokiem wielu jubileuszów. Nie wiem, czy to dobrze czy źle, ale myślę że ustawiczność jubileuszów w jakimś sensie musi nużyć czytelników. Tym bardziej, że wszystkie pisma literackie jak na komendę czczą te jubileusze, jak mogą. Gazety codzienne czynią to samo. Każde pismo stara się oczywiście zebrać materiał oryginalny, gazety codzienne pałają, rzecz prosta, tą samą ambicją. Ale ponieważ zakres sądów o twórczości Mickiewicza, Goethego, Puszkina jest w końcu ograniczony — biorąc w dodatku pod uwagę całe biblioteki, jakie napisano przez te stulecia, które minęły od ich urodzin czy zgonów, więc jasno z tego wynika, że nie wszystko, co spotykamy w prasie zarówno literackiej, jak i codziennej na temat jubileuszowych pisarzy, jest zajmujące, odkrywcze, nowe, posuwające naszą o nich wiedzę. Przeważnie takie numery składają się z artykułów popularyzatorskich i taka robota jest oczywiście i słuszna, i pożyteczna pod warunkiem, że zachęcony i zainteresowany czytelnik przeczyta utwory omawianego pisarza.

Z klasykami polskimi jest łatwiej: jeśli nie ma wydań nowych, można dość łatwo odnaleźć po bibliotekach dawne. Gorzej jest np. z Goethem. Czytam o Goethem i w „Przekroju", i w „Odrodzeniu", i w „Kuźnicy", i w całej prasie, ale Goethego, jeśli nie znam niemieckiego i nie mam jego dzieł pod ręką, nie mogę czytać wcale, chyba to tylko, co wydrukowały te pisma, to znaczy w najlepszym wypadku kilka wierszy. Jeśli wiemy i tak, że numery naszych pism mają za zadanie popularyzację wielkiego pisarza, czy nie byłoby rzeczą słuszną, by w takich wypadkach odstąpić od próżności redaktorskiej i przedrukować obficiej właśnie teksty tego czczonego autora. Będę bardzo ciekaw tego, co pisze o Goethem Jan Alfred Szczepański, Henryk Vogler i inni, ale niemniej chciałbym obok tych informacji odczytać słowa samego pisarza.

„Odrodzenie" zamieściło w nr 35 aż dwa artykuły o Goethem — ogólne i interesujące — Sandauera i Wirpszy. Ale tekstów dało niewiele — ledwie dwa krótkie wiersze w przekładzie Gabriela Karskiego. Otwieram ten goethowski numer w nadziei, że jeszcze coś się znajdzie — istnieje sporo starych przekładów, można dać prozę, niekoniecznie wiersze, które wymagają od tłumacza szczególnego daru (jak np. w przekładzie Jastruna z Schillera, „Kuźnica") i znajduję, owszem, ale fragment „Oniegina". Wszystko to co prawda jedno, czy się czyta wielkiego poetę niemieckiego, czy rosyjskiego, ale i ja,-i czytelnik liczyliśmy jednak na Goethego. Oto więc wydaje mi się, że popularyzacja odbywa się w ten sposób nieco formalnie. Dawniejsza szczupła warstwa inteligencji znała Goethego i nie czekała na jubileusz, by go sobie przypomnieć. Nie było to zresztą jej zasługą. Dzisiaj nowy czytelnik radby wiedzieć co najmniej tyle samo co dawny, a chyba powinien wiedzieć jeszcze więcej. Należy mu tylko w tym dopomóc, nie ograniczać jego wiedzy do okresów jubileuszowych, a nade wszystko dostarczać tekstów zamiast opracowań. Przypisy mają sens, gdy są dołączone do dzieła, przypisy same, autonomiczne, są czymś nonsensownym.

W nieco innej sytuacji są pisma wyspecjalizowane. Mówię o „Teatrze" którego nr 7—8 składa się wyłącznie z materiałów dotyczących Mickiewicza-dramaturga. Te artykuły nie są już jubileuszowe i nie siłą się na zawarcie w kilkuset wierszach całej, pełnej wiedzy o Mickiewiczu w ogóle. Są to prace dotyczące zagadnień poszczególnych. A więc Wacław Borowy pisze o kompozycji „Dziadów", St. W. Balicki — „Notatki" o „Dziadach" Wyspiańskiego i Schillera (mowa oczywiście o dwóch próbach inscenizacji). Wojciech Natanson wspomina o „Konfederatach barskich", które nazywa „nieznanym dramatem". O tychże „Konfederatach", o ich premierze w Teatrze Krakowskim pod dyrekcją Stanisława Koźmiana, pisze Stanisław Dąbrowski. Kilka drobniejszych artykułów informacyjnych, związanych z tematem zasadniczym, oraz doskonałe i bardzo interesująco dobrane przez redakcję reprodukcje afiszów, fotografie inscenizacji późniejszych etc. uzupełniają ten intersujący numer „Teatru".

Na koniec niniejszego sprawozdania wypada mi dorzucić, że w „Tygodniku Powszechnym" czytałem bardzo dobrze i barwnie napisane Stefana Kisielewskiego „Wspomnienia muzyczne", wspomnienia o środowisku będących jeszcze wówczas na studiach w Warszawie wybitnych muzyków i kompozytorów polskich. Kisielewski odwrócony w przeszłość jest znacznie bardziej zajmujący od Kisielewskiego nie rozumiejącego teraźniejszości i zapatrzonego w jemu tylko wiadomą przyszłość. Z Kisielewskim-klasykiem mniej będzie kłopotu!

ph.

Noty

Bałamuctwa

Paryski miesięcznik „Esprit" ogłosił w sierpniowym numerze z br. przekład znanego opowiadania Jarosława Iwaszkiewicza pt. „Młyn nad Lutynią" („Le moulin sur la Lutynia") pióra Georges'a Lisowskiego. Bardzo się z tego cieszymy. Cieszymy się tym bardziej, że ten fakt nie jest odosobniony. Czasopisma francuskie wykazują w ostatnich czasach coraz więcej pozycji polskich, do czego niewątpliwie przyczyniła się działalność polskich placówek kulturalnych we Francji.

Atoli placówki te powinny również z całą starannością dopilnować strony informacyjnej. Mimo że przekładów z literatury polskiej ukazało się już sporo, nie ukazuje się ich jednak aż tyle, aby o każdym z nich nie można było z góry coś niecoś wiedzieć. Tłumaczą przecież ludzie znający język polski, a ci z tego właśnie tytułu kontaktują się z polskimi placówkami kulturalnymi we Francji. Jeżeli zaś sami tego nie czynią, to ktoś powinien ich w tym wyręczyć. Jest przecież polski attaché kulturalny w Paryżu.

Toteż notując z przyjemnością fakt opublikowania francuskiego przekładu „Młyna nad Lutynią", musimy z przykrością stwierdzić, że krótka notatka biograficzna pod opowiadaniem zakrawa na mały skandal. Brzmi ona dosłownie tak:

„J. Iwaskiewicz, directeur du théatre de Varsovie, grand prix de littérature polonaise il y a trois ans, un des principaux écrivains polonais de la génération nouvelle. Ce récit est sa première oeuvre publiée en français".

Ani jedna z tych informacji nie jest prawdziwa.

Pierwsza sugeruje francuskiemu czytelnikowi, że w Warszawie jest tylko jeden teatr, a kierownictwo nad nim sprawuje Iwaszkiewicz. Druga milcząco zakłada istnienie w Polsce nieokreślonej i chyba też jedynej nagrody literackiej, którą trzy lata temu przyznano Iwaszkiewiczowi. Trzecia orzeka wręcz, że Iwaszkiewicz „jest jednym z czołowych pisarzy młodego pokolenia". Czwarta twierdzi, że „Młyn nad Lutynią" jest pierwszym dziełem Iwaszkiewicza, tłumaczonym na język francuski.

Znamy wszyscy niepożytą młodość Jarosława Iwaszkiewicza, ale lata są latami, a epoki epokami. Jeżeli tak dalej pójdzie, to z winy kogoś, kto nie dopilnował niewielu tłumaczy z polskiego na francuski, czytelnik „Esprit" ujrzy wkrótce Zofię Nałkowską wśród niemowląt. Ten sam czytelnik, jeżeli na przykład zajrzy do rocznika „Les lettres françaises" za rok 1948 i znajdzie tam przekład „Nowej miłości" Iwaszkiewicza, będzie przekonany, że ma do czynienia z jakimś innym pisarzem słowiańskim.

Trudno tu zestawiać francuskie przekłady z Iwaszkiewicza. Niech się tym — i podobnymi sprawami — zajmują polskie przedstawicielstwa kulturalne we Francji, ostrzeżone tak przykrym wypadkiem. A poza tym wiek Iwaszkiewicza jest sprawą epok literackich w Polsce. O tym czytelnik francuski powinien być poinformowany, skoro pokazuje mu się pisarza polskiego.

lm

Zapobieganie ciąży pobłogosławione

Znaczny przyrost ludności, jaki zanotowano po zakończeniu wojny w Japonii, wywołał zaniepokojenie Mac Arthura. Po kilkumiesięcznych naradach amerykańscy fachowcy od spraw populacyjnych, przydzieleni do sztabu Mac Arthura, zadecydowali: należy wszcząć kampanię za ograniczeniem urodzeń. Postanowiono uruchomić olbrzymi aparat propagandowy, rząd japoński miał wystosować apel do ludności i wezwać ją do używania środków zapobiegających ciąży. W kampanii miały wziąć udział radio, kino i prasa. Sprawa dostała się wreszcie na forum parlamentu, gdzie partia komunistyczna sprzeciwiła się projektom rządowym, wychodząc z założenia, że kwestia społeczna w Japonii nie może być rozwiązana przez import artykułów gumowych ze Stanów Zjednoczonych.

To stanowisko komunistów japońskich nie spodobało się jednak Watykanowi, który tym razem otwarcie wypowiedział się za zapobieganiem ciąży. Dziennik watykański „Osservatore Romano" dopatrzył się w taktyce komunistycznej niebywałego podstępu. W dniu 3 sierpnia 1949 roku wspomniana gazeta pisała:

„Cóż to będzie oznaczało, jeśli partia komunistyczna zabroni rozciągnięcia kontroli urodzeń na swoich członków? Jakie będą następstwa? Nie upłynie 20 lat i czerwoni będą mieli pod swoimi rozkazami absolutną większość, gdyż niekomunistyczna ludność zmniejszy się skutkiem kontroli urodzeń".

Krótko mówiąc: prezerwatywy dla wszystkich, także dla komunistów. Żeby się zbytnio nie rozmnażali.

Ekskomunika po tybetańsku

W prasie londyńskiej przeczytaliśmy ostatnio następującą notatkę: „Do Londynu napłynęły wiadomości, że dwunastoletni Dalaj Lama zwołał do stolicy Tybetu zgromadzenie stu kapłanów, będących żywym „wcieleniem Buddy". Zebranie ich uchwaliło wszcząć wojnę religijną z komunizmem. Wezwano stu kapłanów do wzniesienia modłów na intencję odwrócenia niebezpieczeństwa zalewu Tybetu przez hordy komunistyczne z Mongolii i prowincji Sin-Kiang. Postawiono mnóstwo horoskopów, z których wynikało, że Tybet musi liczyć się z groźbą agresji od zewnątrz i upadku autorytetu stanu kapłańskiego".

Dwunastoletni Dalaj Lama jest, pomimo młodego wieku, przezornym mężem stanu, nie mówiąc już o setce „żywych wcieleń Buddy". Ciekawe tylko, ilu szpiegów angielskich a ilu amerykańskich znalazło się wśród tych „wcieleń". Jak widać, nie wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, niektóre wiodą do Tybetu via Waszyngton i Londyn.

rkm

Zasługi wydawców

Po „Wyborze poezji" Rimbauda „Książka i Wiedza" znowu przygotowała nielada sensację wydawniczą dla miłośników poezji nowoczesnej. Oto z kolei ukazał się „Wybór poezji" Apollinaire'a, poety, który sam zamyka w sobie całą epokę. Adam Ważyk, który dokonał wyboru, redakcji przekładów i troszczył się o całość wydawnictwa, zaopatrzył ten tomik w cenną przedmowę, w której wyjaśnia wielkie znaczenie Apollinaire'a w rozwoju poezji, a także jego wyjątkowość, jego wyłamanie się z ogólnego nurtu ówczesnej liryki francuskiej. Ta przedmowa Ważyka wydaje mi się ważna nie tylko jako wprowadzenie do poetyki Apollinaire'a, ale i jako rozważania nad poezją w ogóle, która dziś bardziej niż kiedykolwiek musi strzec się, by nie powtarzać rzeczy bezpłodnych, a jednocześnie baczyć, by nie ugrzęznąć w łatwiźnie i w tromtadracji, co jej się niekiedy zdarza. Miejmy nadzieję, że wybór utworów

Apollinaire'a w tak starannych przekładach, w jakich starał się je dobrać Ważyk, i z tak rozsądnym wstępem, stanie się lekturą pożyteczną. Cudze książki i cudze wyniki nigdy nie powinny być wzorem w literaturze, czasem jednak mogą być przykładem szczęśliwie rozwiązanych trudności, pod warunkiem oczywista, że w ogóle starają się te trudności rozwiązywać.

Z wznowień w tygodniu bieżącym wypada mi zanotować „Potop" Sienkiewicza, który ukazał się nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego w 6 tomikach, z których każdy — w 50.000 egz.

Innym ciekawym wznowieniem jest „Jan Krzysztof" Romain Rollanda. Cztery pierwsze tomy oryginału ukazały się w dwu grubych księgach, bardzo starannie wydanych nakładem Księgarni Wegnera, która kontynuuje dawną Bibliotekę Laureatów Nobla.

ph.

ARMIA LUDOWA W DRZEWORYTACH K. SOPOĆKI

Walka Armii Ludowej z faszystowskim najeźdźcą znalazła bodaj swego pierwszego interpretatora w drzeworytnictwie w osobie Konstantego M. Sopoćki, który wykonał cykl drzeworytów, obejmujących dziesięć ogólnie znanych wydarzeń tej walki. Szereg z nich jak ekspropriacja na K.K.O., bomby na Café Club, czy zdobycie Józefowa obejmuje wydarzenia jednorazowe, inne jak minowanie toru, wysadzenie pociągu lub wyrok sądu podziemnego obejmują wydarzenia, jakie się często powtarzały w walce z hitlerowcami.

Sopoćko jest jednym z wybitniejszych polskich grafików pokolenia, które pracę artystyczną rozpoczęło po pierwszej wojnie światowej. Może spoglądać na pokaźny dorobek zarówno w projektach okładek i tytułów książkowych, czemu się ostatnio w przeważającej mierze poświęcił, jak i w exlibrystyce, czy wreszcie ilustrowaniu książek, gdzie na czoło wysunęły się jego pełne finezji ilustracje do Kanzony Dyla Sowiźdrzała. Sopoćko jest artystą opanowanym, obdarzonym emocjonalnością, lecz o dużym poczuciu umiaru w konstruowaniu ekspresji. Jest ksylografem pełnym finezji i subtelności fakturowych, odznaczającym się dokładnością rytowniczą. Te cechy odnajdujemy w cyklu dziesięciu drzeworytów realistycznie obrazujących bohaterską walkę podczas okupacji, cyklu zasługującym na wydanie w tece drzeworytniczej uzupełnionej tekstem literackim.

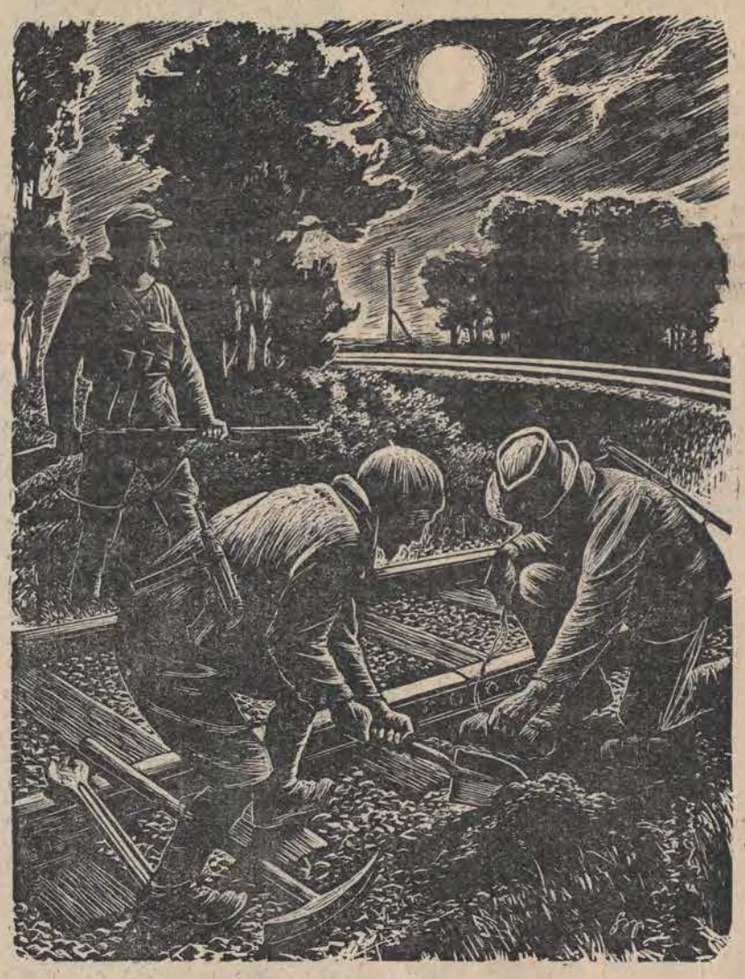

Minowanie toru

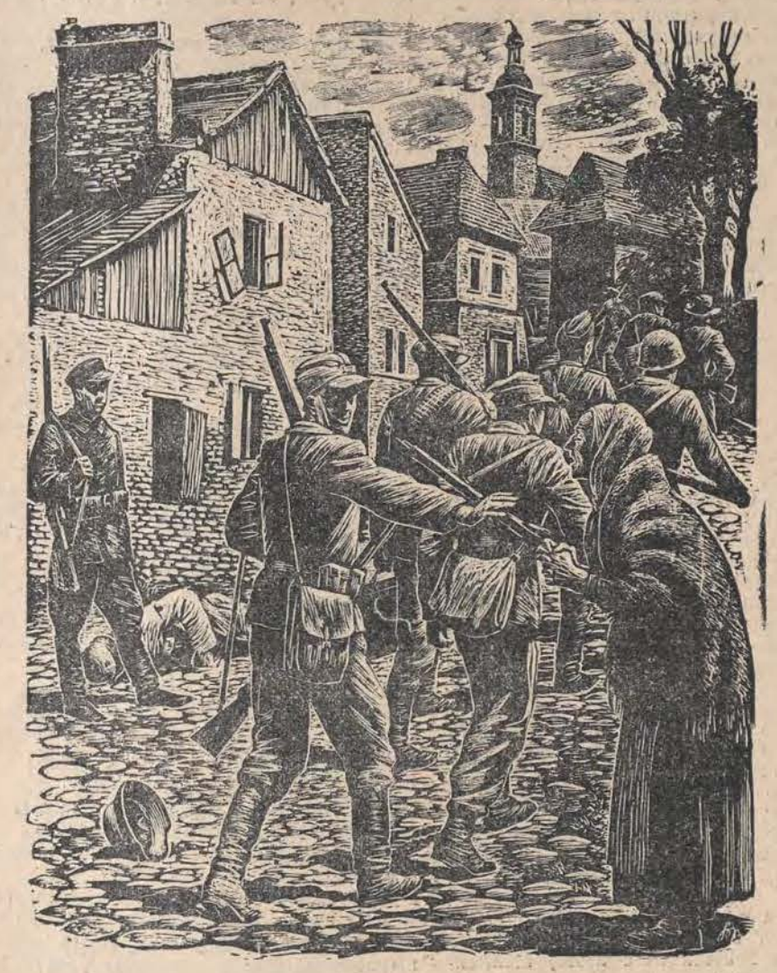

Zdobycie Józefowa

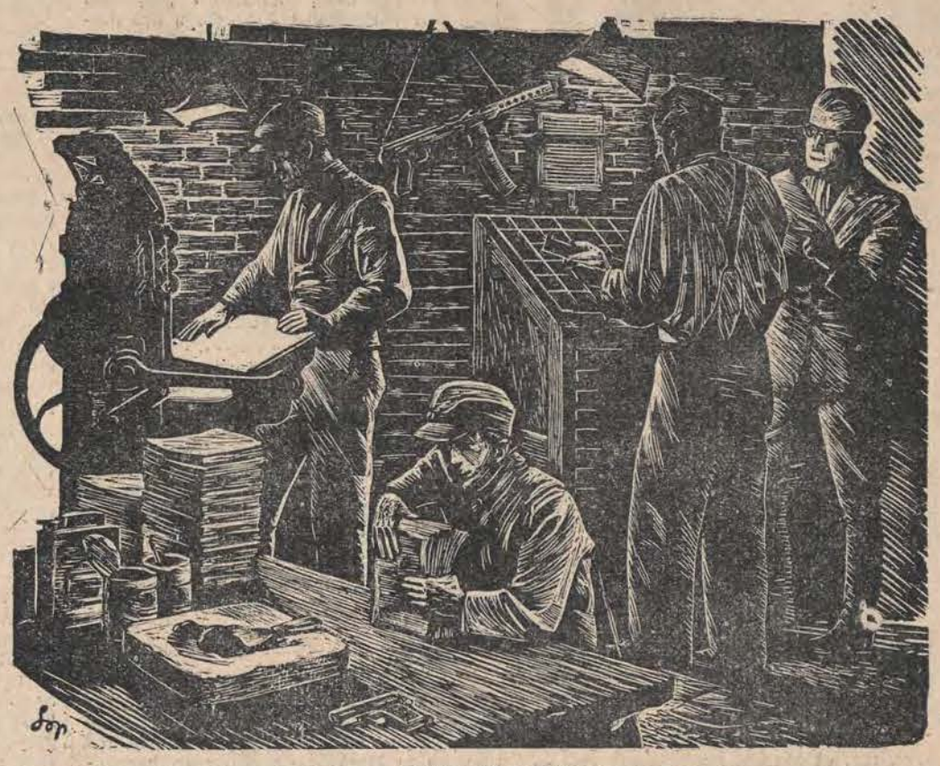

Drukarnia podziemna

TREŚĆ Nr 35

Aleksander Litwin — W dziesięciolecie września; **Egon Naganowski** — Humanizm Goethego; **Mieczysław Jastrun** — Wiersze; **Stefan Żółkiewski** — Pierwiosnki polskiego romantyzmu; **Ryszard Matuszewski** — Książka o ks. Ściegiennym; **Seweryn Pollak** — Aleksander Radiszczew; **Tadeusz Konwicki** — Nowe dni; **Kandyd** — Sprawa szkoły; **Aleksander Jackiewicz** — Opowiadania Stanisława Wygodzkiego; **Leszek Kołakowski** — Manowce szlachetnych dążeń; **Kronika radziecka; Przegląd prasy; Korespondencja; Noty.**

Redaguje Zespół. Adres redakcji ul. Wiejska 12a (Frascati 1) pokój 413, IV p. tel. 4-01-80, w. 45 Adres administracji Wiejska 12. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 80.—: kwartalnie zł 240.—: półrocznie zł 480—; rocznie zł 960.— Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-10900. Adres prenumeraty: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16.

Drukarnia Nr 2 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5 B-84497